



MERKURIUSZ

Historyków

MAGAZYN STUDENCKIEGO KOŁA HISTORYKÓW AKADEMII BYDGOSKIEJ
IM. KAZIMIERZA WIELKIEGO

Nr 18, styczeń-marzec 2002, (wydanie posesyjne)

Drodzy Studenci! Oddajemy Wam kolejny numer Naszego Magazynu Studenckiego - MERKURIUSZA!! Równocześnie przepraszamy za to, że zatraciliśmy chwilowo cykliczność dwumiesięcznika, ale było to spowodowane wyjątkowo trudną sesją egzaminacyjną. Z góry dziękujemy za zrozumienie i poczekajmy spokojnie na następną sesję...

A oto co w numerze:

Część 2 Podróży po USA	s.2
<i>P. Wojciechowski</i>	
Merkury	s.3
<i>W. Ślusarczyk</i>	
Chorażew Ziemi...	s.4
<i>M. Surdel</i>	
Gesty Hitlera	s.5
<i>Ł. Popławski</i>	
Braveheart 2	s.7
<i>P. Łęgowski</i>	
Rozmowa z prof. A. Piątkowskim ...	s.8
<i>W. Ślusarczyk</i>	
Uciekający w fantastykę	s.10
<i>M. Bazarnik</i>	
Rozmowa z dr. J. Kowalskim	s.11
<i>W. Ślusarczyk</i>	
Zatrzymać chwilę...	s.13
<i>A. Januszewska</i>	
Wpływy radzieckie w WP	s.14
<i>Ł. Popławski</i>	



Adres Redakcji:

Studenckie Koło Historyków
Akademii Bydgoskiej

Ul. Przemysłowa 34, pok. 29

85-758 Bydgoszcz

tel. (0-52) 345-22-05 wew. 411

e-mail: skhab@wp.pl

Merkuriusz.skhab@wp.pl

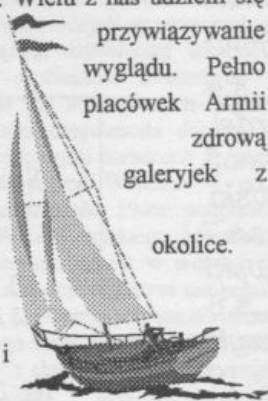
Prezes.skhab@wp.pl

Podróży po USA ciąg dalszy...

...prosto z lotniska pojechaliśmy na Camp. A na obozie zwykle domki z ciemnego drzewa, duża sala ze sceną na spotkania i występy oraz ogromna kuchnia z jadalnią. Dodatkowo kilka budynków dla personelu i jeden administracyjny z pokojem internetowym, salą do gry w ping-ponga oraz oglądania filmów na wideo lub DVD. Tak wyglądał mój dom na wakacyjne trzy miesiące.

Raz w tygodniu mieliśmy wolne i to była najlepsza opcja dla nas. Ten jeden dzień poświęcaliśmy na zabawę w San Francisco, Santa Cruz czy choćby w małym Felton, gdzie mój przyjaciel ma domek. Żeby się do tych wszystkich miejsc dostać do wyboru mieliśmy kilka tras. W większości były to autostrady albo pociągi, ale my zawsze wybieraliśmy tą jedyną dla nas : zбочem łańcucha górskiego otaczającego Dolinę Krzemową, wzdłuż oceanu. Niesamowite rzeczy są po drodze; kilka mniejszych miasteczek, takich typowych jakie można zobaczyć w amerykańskich produkcjach filmowych, a ponadto pastwiska na zboczach poprzecinane parkami krajobrazowymi. Najchętniej jeździliśmy do Santa Cruz, takiego małego miasteczka nad brzegiem oceanu, uznawanego w Stanach za miasteczko lesbijek, których rzeczywiście wiele tam. To one w dużym stopniu nadały niepowtarzalny urok Santa Cruz. Wielu z nas udzielił się nastrój, chociażby poprzez nie zbytniej uwagi do stroju czy sklepików z kasetami, sieć Zbawienia, marketów ze żywnością, masa małych pracami miejscowych artystów wychwalających miasto i jego

Jako że należy spróbować wszystkiego, skorzystaliśmy z ofert jednego z rybaków i wypłynęliśmy na pełny ocean.



Pacyfik. Ryby brały niesamowicie i to sztuki od 5 do 15 kg. No ale wszystko co dobre kiedyś się kończy. Po ok. godzinie pływania większość z nas rozłożyła grzecznie na sofach kokpitu choroba morska. Ciężko było, oj ciężko... Po powrocie położyliśmy się spać, ale wieczorem obudził nas zapach idealnie przyprawionych przez rybaka zdobyczy porannego połowu. Odzyskawszy nieco siły po posiłku, ruszyliśmy na basen. Idealna sprawa – leżeć w basenie z głową utkwioną w rozgwieżdżonym niebie. Niekiedy z okalających obóz wzgórz dochodziło do naszych uszu wycie kojotów czy też piski górskich ptaków. Wrażenie niesamowite.

Rankiem wsiadam na motor i wjeżdżam na szczyt góry, z której roztacza się panorama całej Doliny Krzemowej, a przy dobrej pogodzie widać nawet odległe San Francisco. Widok ze szczytu na budzącą się Dolinę to doznanie nieporównywalne z niczym innym. Szybki zjazd w dół i... normalny dzień pracy. Przy śniadaniu przyglądamy się nowoprzybyłym twarzą i z radością wnioskujemy, że nie może być nudno, ponieważ obozowiczki o miłych, ładnych uśmiechach oraz zgrabnych sylwetkach kusząco rozglądają się dookoła. O tym już wam wystarczy... Do jadalni wpada Alan przerażony wizytą szefostwa całej organizacji zajmującej się administracją obozów takich jak nasz. Wpadł w lekką panikę i prosi nas, żebyśmy nie jeździli tak szybko. Oraz że wie, jakie to dla nas trudne, ale przez ten jeden dzień mamy się dobrze spisać i chociaż udawać, że robimy coś pożytecznego. Komisja przyjechała i odjechała, a my znowu mieliśmy wolną rękę.

Ja tu piszę co było, a tak naprawdę to jestem myślami daleko, daleko w przyszłości. Zapewne powyższe schematy powtórzą się podczas zbliżających się szybkim krokiem wakacji.

Czekam na nie z niecierpliwością...

Przemek Wojciechowski

STUDENCKIE KOŁO HISTORYKÓW AB ZAPRASZA NA:

OBJAZD HISTORYCZNY,

KTÓRY ODBĘDZIE SIĘ W DNIACH 13-17 MAJ.

TEMAT PRZEWODNI: REZYDENCJE KRÓLEWSKIE I MAGNACKIE W MAŁOPOLSCIE.

KOSZT OBJAZDU WYNOŚI 100 PLN.

ZAPISY DO 10 KWIETNIA W POK. 29.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!!!

MERKURY - NIEMOWLĘ - ZŁODZIEJ

Kult Merkurego (czczonego w Rzymie), jest prawdopodobnie starszy niż sam Rzym. Jego świątynia została zbudowana, wedle tradycji w 496 r. p.n.e., poza świątym Pomerium, w dolinie Wielkiego Cyrku, na zboczach Awentynu, niedaleko rzymskiego portu, stanowiącego dla Rzymian jedno z pierwszych źródeł handlu. Umieszczenie to świadczyć może o nie rzymskim pochodzeniu kultu Merkurego. Bliskość portu tłumaczyć może fakt, iż Merkury sprawował opiekę nad kupcami i podróżnymi.

Na wizerunek rzymskiego Merkurego, olbrzymi wpływ miał grecki kult Hermesa, z którym nasz bohater został utożsamiony, podczas procesu hellenizacji. Podobnie, jak Hermes, Merkury jako swe atrybuty posiadał kaduceusz, kapelusz o szerokim rondzie, uskrzydłone sandały, a także związaną z handlem sakiewkę. Aby więc móc mówić o Merkury, należy traktować go jako rzymski odpowiednik Hermesa, pamiętając o italskim pochodzeniu jego kultu i postaci, na terenie półwyspu apenińskiego. Jest to zapewne dość encyklopedyczne uproszczenie, jednakże wydaje się ono dość przejrzyste tłumaczyć zagadnienie.

Hermes przyszedł na świat w grocie, u stóp góry Kyllene na południu Arkadii, jako syn Dzeusa i Mai – najmłodszej z Plejad. Jak nakazywał zwyczaj, zaraz po narodzeniu, skrepowano go powijakami i ułożono w koszyku – kołysce. Hermes jednak, jak na syna dzeusowego przystało, nie miał zamiaru pozostawać w tym niemowlęcym zniewoleniu. Wykazując boską zrzeczność, uwolnił się z krepujących go betów i... ruszył do Tesalii. W krainie tej, na co dzień, brat nowonarodzonego Hermesa – Apollon, zajmował się wypasaniem bydła. Teraz jednakże apollonowe zainteresowanie, zwróciło się w stronę Hymenajosa – syna Magnesa, w którym to zdalekacelnym zadurzył się. Korzystając z zaistniałej sytuacji, Hermes ukradł swojemu bratu znaczną część jego stada. Niezauważony (widział go tylko starzec – Battos, którego milczenie postarał się Hermes kupić), przeszedł ze skradzionym bydłem, przez całą Grecję, a dotarłszy do Pylos, złożył jego część w ofierze bogom. Resztę stada ukrył, następnie ruszył do grotty, u stóp góry Kyllene. Możemy sobie wyobrazić, iż na jego bezżebnych usteczkach gościł wówczas bardzo „niewinny” uśmieszek... Przed samym wejściem do grotty, Hermes zabił zółwia. Oderwał jego skorupę, na której rozpiął jelita, które pozostały mu ze złożonych w ofierze zwierząt. Tak powstała pierwsza lira.

Oprzytomniawszy, Apollon zorientował się, że ukradziono mu część stada. Szukając swojej własności, napotkał Battosa, który to okazał się wiarołomcą, ponieważ wyznał Apollonowi, iż kradzieży dokonał Hermes. Apollon ruszył do grotty, w której przebywał złodziej. Zastał go jednak spowitego w bety, nad

którym sprawowała opiekę, poświadczająca jego niewinność Maja. Zbulwersowany Apollon poskarżył się swojemu ojcu. Dzeus przybył do grotty osobiście i mimo protestów syna – złodzieja, rozkazał oddać bratu ukradzioną część stada. Zasmucony takim obrotem spraw Hermes, zapewne dla poprawy swego nastroju, zaczął grać na lirze. Usłyszawszy jej brzmienie, Apollon zaproponował bratu wymianę ukradzonej części stada za owy instrument. Tak oto bracia dobili targu. Podobnie też dokonali wymiany, kiedy Hermes wynalazł flet, za który Apollon ofiarował mu pasterską laskę – kaduceusz, dokładając do niej także umiejętność odgadywania przyszłości z kamyków, o którą poprosił go młodszy brat. Widząc rzutkość i przedsiębiorczość swojego najmłodszego syna, Dzeus uczynił go swoim posłańcem. To jedyny mit związany bezpośrednio z postacią Hermesa, aczkolwiek występuje on często w innych mitach, odgrywając głównie rolę dzeusowego posłańca, noszącego informacje bogom i ludziom.

Jako ciekawostkę, można podać mało popularną tradycję, która mówi iż stanowiącą wręcz topos, w europejskiej kulturze, wiernej żony – Penelopa, z powodu chwili słabości (podczas nieobecności Odysusza, którego Hermes był dziadkiem), spędzonej wraz Hermesem, zaszła w ciążę, zrodziwszy dziewięć miesięcy później, w górach Arkadii Pana, który został podobnie jak swój ojciec pasterzem.

Hermes, tak samo jak rzymski Merkury, był bogiem handlu, podróżników, ale także i kradzieży. Dodatkowo jeszcze Hermes – Merkury, opiekował się pasterzami. Z tego to powodu, jedną z form przedstawiania jego postaci, był efeb, niosący jagnię. Sztuka starochrześcijańska przejęła ten wizerunek, z czasem przyprawiając hermesowemu obliczu brodę, czyniąc je obliczem Chrystusa.

Trudno w chwili obecnej stwierdzić, jaka jest tego przyczyna, lecz w medycynie staropolskiej, mianem „Merkurysza” nazywano rtęć, którą leczono... syfilis.

Jak wobec tego, wielce pobieżnego, przeglądu informacji na temat Hermesa – Merkurego, wygląda nasz dwumiesięcznik MERKURIUSZ? Zapewne legendarni wręcz już i zapomniani przez nas założyciele owego periodyku, mieli na myśli aspekt Merkurego – posłańca, który nosiłby wieści wszelakie braci studenckiej. My oczywiście postaramy się kontynuować ową tradycję; dodając jednakowoż, iż MERKURIUSZ może stanowić także i lek, dla ludzi zafascynowanych przeszłością, na trapiące ich dolegliwości.

Wojciech Ślusarczyk



CHORĄGIEW ZIEMI GÓRNOŚLĄSKIEJ

Sześć – siedem lat temu kilkoro graczy RPG i miłośników fantastyki chciało sprawdzić jak naprawdę mogła wyglądać walka mieczem. Zaczęliśmy od drewna, potem ktoś kupił pierwsze dwa miecze i okazało się, że fechtunek kijami nijak się ma do robienia żelazem, bez wprowadzenia osobnych, sztucznych zasad. (Na przykład cios z nadgarstka drewnem jest dość mocny, co ciężko uzyskać żelazem.) Zaczęliśmy się dozbrajać i coraz więcej ćwiczyć nowymi mieczami, drewno traktując co raz częściej jako narzędzie do nauki podstaw i uzupełnienia. Potem (trzy lata temu), z poręczenia znajomych, pojechaliśmy w kilka osób pod Grunwald. Nowi znajomi zaprosili nas na kolejne imprezy i zaczęliśmy szyć lepsze, poprawne historycznie stroje, żeby nie wyglądać jak banda szmaciarzy w glanach, legginsach i nylonowych tunikach.

Jeszcze w okresie „drewnianym”, znajomi gracze RPG z Łazisk, Katowic i Zabrze, postanowili się przyłączyć do zabawy, przy czym grupa zabrzańska bardzo szybko się rozpadła, pozostałe jednak przetrwały do dziś, rozrastając się.

Drużyny mają daleko posuniętą autonomię i tylko najważniejsze sprawy są rozpatrywane wspólnie.

Czym zajmujemy się w Gliwicach?

1. Odtwarzamy europejską walkę bronią białą i miotającą z okresu średniowiecza, wczesnego średniowiecza i starożytności. Tworzy się już także mała grupka fascynatów szermierką renesansową – rapierem i szablą.
2. Ćwiczymy fechtunek pieszy mieczem dwuręcznym, półtora ręcznym i mieczem jednoręcznym, z tarczą, puklerzem, pugińalem (lewakiem); w opancerzeniu i bez. Staramy się odtworzyć techniki zilustrowane w zachowanych podręcznikach szermierki, te skuteczne. Szermierka teatralna i pokazowa nie jest głównym, obszarem naszych zainteresowań.
3. Ćwiczymy walkę pojedynkową, jak i bitewną.
4. Ćwiczymy lucznicstwo tradycyjne.
5. Szyjemy sobie stroje, z interesujących nas okresów historycznych, niektórzy produkują zbroje.
6. Część z nas interesuje się tańcami – jeźdźcą do Katowic lub Łazisk, na organizowane tam „seminaria”.
7. Część z nas zajmuje się kulturą dworską i historią Śląska.
8. Jeździmy na turnieje „rycerskie” i inscenizacje.
9. Występujemy w pokazach i na festynach.
10. Chcemy wprowadzić walkę bronią drzewcową, toporami i pugińalami.
11. Mamy też plany dotyczące jazdy konnej.

W odróżnieniu od innych „bractw rycerskich” nie uważamy się za rycerzy. Historycznie rzecz biorąc, rycerz składał się z konia, kopii, zbroi i dużego majątku. Nikt z nas nie ma konia, o dużym majątku nie wspominając. Naszym zdaniem więc nie ma co udawać wielkiego rycerstwa. W innych bractwach,

pozowanie na rycerza bądź na damę jest na porządku dziennym.

Ponieważ takie nadęcie nas śmieszy, zwłaszcza kiedy idzie w parze z całkowitym brakiem umiejętności i nieadekwatnym do epoki wyglądem, nikt z nas nie lubi kiedy się go woła per „rycerzu” Odtwarzamy zbrojnych – garnizon miejski, najemną piechotę i tylko „urzędnicy” chorągwi powinni wyglądać „po rycersku”. Nikomu jednak sodówka nie uderza do głowy i nie drukujemy wizytówek z sążnistymi tytułami, co innym bractwom się zdarza.

Po drugie różnimy się podejściem do fechtunku. Odbywamy regularne treningi, podczas których uczymy się pełnego wachlarza technik walki, w miarę pełnym arsenałem broni. Stawiamy na efekt walki, a nie na jej wygląd. Ćwiczymy w opancerzeniu spełniającym swoje funkcje. W innych bractwach treningi odbywają się nieregularnie, a będące u nas podstawą treningu sparingi, odbywają się bardzo rzadko, wyłącznie przy użyciu drewna, z wyłączeniem pchnięć i innymi zabezpieczeniami. Dla nich jest to miły dodatek do zabawy, a dla nas jej główna część. Po tegorocznym Grunwaldzie, dostaliśmy, ponoć za brutalność i „nierycerskie” zachowanie, przezwisko „śląskich barbarzyńców”. Przypięli nam je ludzie, którzy przyszli obejrzeć trening ciężkiej piechoty. Spora część tych widzów, w ogóle nie pojawiła się na inscenizacji bitwy nazajutrz. Wydaje mi się, iż myślą oni zasady potyczek turniejowych z bitewnym brakiem zasad, który uwzględniamy w naszym szkoleniu.

Zauważyłem też różnicę, w samym podejściu do „zabawy w średniowiecze”. My mało mówimy o ideałach, a dużo ćwiczymy, natomiast niektóre bractwa koncentrują się na głośnym wychwalaniu własnych umiejętności i wiedzy. Część z nich, wydaje się bardziej woli koncentrować się na zdobywaniu wiedzy teoretycznej – historycznej, my z kolei wolimy praktykę. Na wyjazdach jednak obowiązuje nas „prawo wojenne”-wojewoda ma prawo oczekiwać całkowitego (w ramach rozsądku) posłuszeństwa. Posiada on również prawo karania, do nakazania natychmiastowego powrotu włącznie.

Działalność w naszym bractwie wymaga wysiłku i zdrowego rozsądku, odpłacają one jednak ogromną satysfakcją, czego zalecam spróbować.

Marcin Surdel
Gliwice

Mamy nadzieję, iż mogliśmy zaprezentować Państwu, jeden z wielu artykułów dotyczących, tak ciekawego zjawiska jakimi są bractwa rycerskie. Być może w następnym numerze uda nam się zapoznać z kimś, kto zdaniem autora powyższego tekstu, „pozuje na rycerza”. Tym bardziej, iż swoim artykułem, Marcin Surdel wzbudził nasze kontrowersje, dziękujemy mu za dotychczasową współpracę, prosząc za razem o jej dalszy ciąg.
REDAKCJA

GESTY HITLERA

Wśród osób otaczających Adolfa Hitlera panowało przekonanie, że ma on talent aktorski. Opinię taką wypowiadali ministrowie: Albert Speer i Joachim von Ribbentrop, generał Heinz Guderian, kamerdyner Heinz Linge oraz wiele innych osób. Również sam Hitler w czasie jednej z rozmów z ministrem finansów, Lutzem Schwerin von Krosigk, określił siebie samego jako największego aktora w Europie. Także biograf Hitlera, Joachim Fest, zwraca uwagę, że ważną cechą przywódcy III Rzeszy, była umiejętność występowania na scenie. Publiczność była jego „osobistym teatrem”, dla niej występował jako główny aktor, a równocześnie reżyser przedstawienia. Starał się pokazywać tak, aby jego postać wydawała się wielka i dostojna. Ważnym elementem towarzyszącym jego wypowiedzi była silna gestykulacja. Według „Słownika socjologicznego”...*„gesty są to pozawerbalne środki komunikacji interpersonalnej, ruchy ciała najczęściej ręki lub głowy, posiadające w danej grupie społecznej znaczenie symboliczne, przeważnie towarzyszącą jednak mowie, podkreślając niektóre treści wypowiedzi.”* Silne emocje najłatwiej wzbudzić właśnie w sposób niewerbalny. Jest to najbardziej pierwotny sposób komunikowania. Tymochowicz, który po sukcesie Samoobrony został okrzyknięty królem polskiej public relations, twierdzi, że: *„ sukcesy w negocjacjach, sprzedaży, wystąpieniach publicznych i kontaktach osobistych, aż w 80 % zawdzięczamy odpowiednim technikom języka ciała.”*

W przemówieniach Adolfa Hitlera można wyróżnić dwa rodzaje gestów. Były to gesty władcze oraz zachowania melodramatyczne. Wszystkie one służyły przede wszystkim budowaniu napięcia. Do gestów władczych należały: grożenie palcem, pchnięcia do przodu, zaciskanie pięści (bicie się w piersi, ruchy gniotące, szarpnięcie, tłuć, zderzanie pięści) oraz wszelkiego rodzaju ciosy wykonywane otwartymi dłońmi (przede wszystkim cięcia powietrza). Grożenie palcem służyło przywoływaniu do porządku rozentuzjowanej publiczności. Pełniło również funkcję kompensacyjną i rytmizującą, np. po kaszlu. Pchnięcia do przodu Hitler wykonywał zewnętrzną stroną dłoni do publiczności, co było oznaką dominacji. Wszelkie jego gesty władcze wydają się bardzo gwałtowne, jednak można mieć wątpliwości co do ich naturalności. Hitler potrafił bowiem je precyzyjnie powstrzymywać i powtarzać niemalże w identyczny sposób bez żadnego odchylenia kierunku. Wykonując pchnięcie do przodu, zawsze udawało mu się utrzymać dłoń pośrodku ciała. Pomiędzy grożeniem palcem a innym gestem władczym, Hitler często podnosił ręce na wysokość twarzy, wyciągał w górę palce, potrząsał dłońmi i zamykał oczy. Miał w ten sposób wyrazić, że: *„walka rozgrywa się na wszystkich frontach”*. Jest to gest melodramatyczny, nazywany udawanym omdleniem. Ciekawe jest bowiem, że w mgnieniu oka Hitler przechodzi do gestów władczych. Gdyby rzeczywiście na chwilę stracił świadomość, powinien mieć trochę czasu

na dojsie do siebie. Innym gestem melodramatycznym był przedrzeźniany klaps (wykonywany z wielkim rozmachem, ale bez żadnego napięcia). Miał on symbolizować słowa: *„ja się na to nie zgadzam.”* Szkoda, że Martha Davis i Dianne Dulicai nie napisały w swoim artykule, co mówił Hitler, wykonując ten gest. Może nie był on rzeczywiście „przedrzeźniany”, ale był wyrażeniem pogardy, którą symbolizuje machnięcie ręką bez żadnego napięcia.

Siła fascynacji przemówień tkwiła w zdolności wyczuwania tego, co widownia pragnie usłyszeć i na jakie problemy jest w danej chwili uczulona. W tej dziedzinie Hitler posiadał wyrobioną w ciągu lat intuicję. Trudno jednak stwierdzić, czy intuicja podpowiadała mu, żeby każde przemówienie zaczynać

bardzo powoli i bardzo nieśmiało, w celu budowania

napięcia, czy

to po prostu brak

pewności siebie, która wynikać mogła z obawy, czy uda mu się nawiązać kontakt ze słuchaczami. Widać u Hitlera było oznaki zdenerwowania, np. przebieganie palcami prawej ręki przy skrzyżowanych ramionach. Co prawda dłoń była pod ręką, więc trudno było to zauważyć, ale czy był to kamuflaż? Skrzyżowane ramiona oznaczają postawę zamkniętą i obronną, nie bardzo pasującą do wizerunku silnego wodza. A wizerunek ten Hitler chciał zachować za wszelką cenę. Nieustannie starał się zachować sztywną wyprostowaną postawę, gdyż stanie na spoczynku albo ze zwichrowanym biodrem oznacza postawę kokieteryjną, u mężczyzn źle widzianą; stanie palcami do siebie oznacza, że jest się nieudacznikiem. Jednak zachowanie prostej postawy przy gestykulacji Hitlera było niemożliwe. Żeby zachować sztywny tułów, musiał czasami stawać na palcach. Martha Davis i Dianne Dulicai uznają to jako jeden z jego błędów. Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że nie wszyscy musieli to widzieć. Wyprostowana postawa powodowała natomiast, że wydawał się wyższy. Być może stawanie na palcach nie było wcale błędem, ale ruchem mającym na celu powiększenie wzrostu.

Za błąd ciała zostało uznane również zakrywanie twarzy. Było to spowodowane albo odbijaniem, (Hitler często narzekał na żołądek), albo kaszlem z powodu nadmiernego krzyku. Według autorek „Gestu Hitlera” bardziej prawdopodobna jest ta druga wersja. Jednak może ona świadczyć na ich niekorzyść. Kaszel może oznaczać, że Hitler jednak wszystkiego nie kontrolował. Z pewnością mógłby ograniczyć krzyk, gdyby czuł drapanie w gardle. Kaszel nie pasuje przecież do wizerunku silnego wodza. Jednak krzyk Hitlera nie musiał być świadomy. Mógł wynikać z szału, jaki go ogarniał podczas przemówienia.



Styl poruszania się Hitlera był bardzo trudny do naśladowania. Sprawiał ból i łamanie w kościach. Większość aktorów i tancerzy próbujących go kopiować, domagała się natychmiastowej przerwy. Jeżeli Hitler również odczuwał ból, może to wyjaśniać jego agresję skierowaną na zewnątrz (np. ciosy) i do wewnątrz (np. bicie się w piersi). Jednak nie wiadomo nic o grymasach bólu na jego twarzy. Albo Hitler „jako silny przedstawiciel rasy aryjskiej” potrafił się powstrzymać, albo był tak zbudowany, że go nie czuł. Być może też nie czuł bólu z powodu szału, jaki mógł go ogarniać podczas przemówienia. Jego agresja skierowana nie tylko na zewnątrz, ale i do wewnątrz, sprawiała, że pouczał nie tylko ludzi, ale i sam siebie. Hitler był mistrzem dostrajania się do publiczności, a następnie zdobywania jej dla siebie. Stosunek do słuchaczy nie wyrażał się jednak zdaniem: „Jestem waszym przywódcą, jesteście moim ludem”, lecz raczej: „jesteście moim przedłużeniem”. Jednocześnie Hitler doskonale łączył słowa i gesty, unosząc prawą rękę, robiąc łuk i uderzając w lewe ramie wskazując: „wszystko to jest moje, to ja” i wypowiadając słowa: „Nikt nie może wstać i powiedzieć, że kiedykolwiek twierdziłem ...”

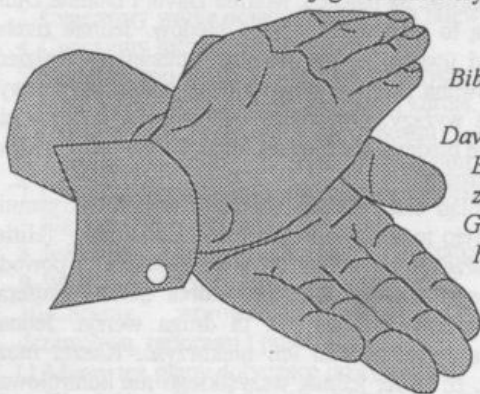
Hitler był parodiowany między innymi przez Chaplina w filmie „Dyktator” oraz przez Guinnessa w filmie „Hitler – ostatnie dziesięć dni”. Chaplin zwrócił dużą uwagę na szal, jaki ogarniał wodza III Rzeszy. Żeby się uspokoić, wlewał sobie do spodni zimną wodę. Guinness natomiast odgrywał rolę Hitlera bardzo apatycznego. Nie ma zbyt wielu dokumentów z okresu ostatnich dziesięciu dni Hitlera, jednak nie ulega wątpliwości, że pod koniec życia bardzo się zmienił. Innym artystą, który naśladował Hitlera, był aktor wykonujący taniec śmierci w balecie Kurta Joosa „Zielony stół”. Jednak trudno powiedzieć, czy jego gwałtowne, kanciaste ruchy wynikały z faktu, że przestudiował gestykulację Hitlera, czy były to podświadome ruchy potencji destrukcyjnej.

Biorąc pod uwagę, że 80% sukcesu wypowiedzi zależy od gestykulacji, nie ma się co dziwić Hitlerowi, że w tak dużym stopniu stosował komunikację niewerbalną. Trzeba również dodać, że w jego czasach ery przedtele-

wizyjnej nie był wcale wyjątkiem, a nawet zaangażowani pacyfiści wykonywali gesty władcze, choć trzeba przyznać, że Hitler robił to szczególnie. Zanim powstała telewizja, gesty miały jeszcze większe znaczenie, ponieważ większość wypowiedzi była skierowana do tłumu, który jeszcze bardziej kieruje się emocjami niż pojedynczy widz przed telewizorem. Niemożliwe jest, żeby wszystkie gesty były udawane. Po osiągnięciu szczytu napięciowego Hitler pozornie wracał do normalnych czynności, niby nie miał ani chwili przerwy na dojsię do siebie, ale zaraz potem gładził się po głowie. Wykonywanie tego ruchu z perfekcją i ontestacją oznacza pogardę dla publiczności, ale można to również interpretować jako próbę odzyskania opanowania. Trudno powiedzieć czy dobrym zabiegiem socjotechnicznym jest uświadamianie komuś, że się nim gardzi. Natomiast, jeżeli Hitler gładził się pogłowie, żeby odzyskać panowanie, to znaczy, że jego oszołomienie było prawdziwe. Warto tu zacytować fragment „Neeweeka”, który donosił: „kobiety mdlały, kiedy on purpurową od napięcia twarzą czarował publiczność retoryką o jakiej twierdzono, że posiada magiczny wpływ.” Czy można tak udawać, żeby mieć purpurową twarz?

W innych sytuacjach niż przemówienia Hitler nie wykazywał podobnej intensywności swoich ruchów. Widoczne było jedynie oddzielenie tułowia od ruchów rąk. Z pewnością Hitler zastosował wojskowy styl poruszania się, żeby wpaść w rolę Führera. Jednak inni przywódcy nazistowscy poruszali się inaczej niż Hitler. Czy świadczy to o tym, że jego ruchy były wrodzone, czy też wszelkie nowinki socjotechniczne rezerwował tylko dla siebie? Oficjalny salut nazistowski również był dopasowany do jego sposobu poruszania się. Niewątpliwie bardzo mu się spodobał. Podczas ceremonii defiladowych na Parteitagach NSDAP w Norymberdze stał przez pięć godzin z wyciągniętą prawą ręką. Na pytanie jak to wytrzymał, odpowiedział: „siłą woli”.

Łukasz Popławski



Bibliografia:

- Davis Martha, Dulicai Dianne, „Gest Hitlera”, Dialog nr 9/1996.
 Eisler – Mertz Christiane, „Komunikacja niewerbalna. Mowa rąk. Co zdradzają nasze gesty.” Wrocław 1999.
 Grünberg Karol, „Życie osobiste Adolfa Hitlera”, Toruń 1991.
 Hugo – Bader Jacek, Reportaż Magazynu Gazety Wyborczej, nr 51/2001.
 Olechnicki Krzysztof, Załęcki Paweł, „Słownik socjologiczny”, Toruń 1997.

Braveheart 2: Robert I Bruce

Pamiętacie zapewne końcowe sceny filmu w reżyserii M. Gibsona Braveheart. Tragiczna śmierć bohatera, rozpacz jego przyjaciół i ogólne zniechęcenie Szkotów do walki. W kinie tak bywa, że pewne elementy historii są pomijane. Z tego powodu reżyser nie pokazał w pełni sceny śmierci Wallace'a, a jedynie zasugerował coś to z Williamem wyprawiali wstrętnei Anglicy. Po śmierci Wallace'a w 1305 r. Szkotów nie ogarnęła apatia, jak nam to w filmie przedstawiono. Było wręcz odwrotnie, jego śmierć przyczyniła się do konsolidacji narodowej mieszkańców Szkocji, którzy otrzymali tak potrzebnego męczennika.

Cały film był dobry, żeby nie powiedzieć piękny. Opowiadał wspaniałą historię. Niewiele osób orientuje się, że najważniejszą w całym filmie była ostatnia scena. Ten rzucony miecz symbolizował chęć dalszej walki, a mający prowadzić Szkotów do boju rycerz stał się kolejnym bohaterem narodowym.

Rycerzem tym był Robert Bruce earl Carrick. Zanim wszedł na arenę polityczną Szkocji, przez kilka lat nie mógł się zdecydować czy stanąć po stronie króla Anglii, czy też przeciwko niemu. W tym czasie kilkakrotnie zmieniał stronę. Jego podpis widniał również w tzw. Ragman Roll – „szmatławym rejestrze”, czyli deklaracji lojalności możnych Szkocji wobec króla Anglii Edwarda I.

W 1304 r. Bruce podpisał umowę z biskupem St Andrews Williamem Lambertonem i spotkał się z Janem Comyn'em, przywódcą opozycji antyangielskiej, który był jego dawnym wrogiem. Tym razem w wyniku kłótni i pojedynku Robert Bruce zabił Comyn'a w kościele franciszkańskim w Dumfries. Mimo, że groziła mu ekskomunika podążył do Scone, gdzie 27 marca 1306 r. ogłosił się królem Szkotów.

W ceremonii wzięli udział biskupi St Andrews, Glasgow i Morray, przybyli dwaj earlowie oraz Izabela Countess of Buchan, siostra earla Fife więzionego przez Anglików.

Robert I został wyjęty spod prawa przez władze angielskie. W czerwcu 1306 r. przegrał bitwę pod Methven w pobliżu Perth, stając się prawdziwym banitą. Anglicy tymczasem pojмали kobiety z jego rodziny oraz Izabelę Buchan, a trzech braci zgładzili.

Sytuacja króla Szkotów zaczęła się poprawiać w 1307 r., kiedy to w marcu wygrał bitwę w Glen Trossachs, a dwa miesiące później pokonał pod Kilmarnock earla

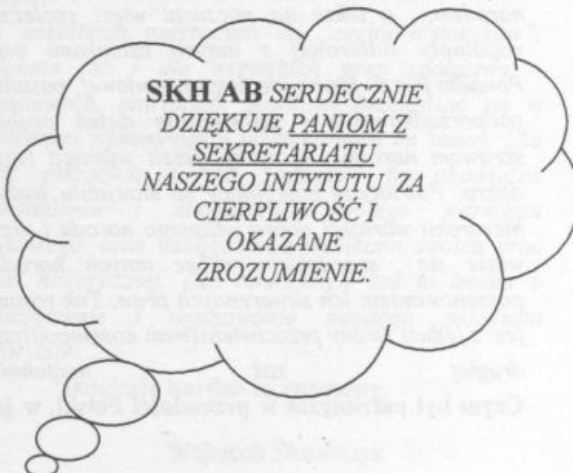
Pembroke'a, głównodowodzącego oddziałów Edwarda I w Szkocji. Niedługo po tych wydarzeniach umiera król Anglii zwany „Młotem Szkotów”. Robert wykorzystał tę okazję do usunięcia wroga z kraju i rozprawy z wewnętrzną opozycją zwolenników Balliol'a i Comyn'a. Rozkochany

w balach Edward II zareagował dopiero, gdy w rękach Anglików pozostał już tylko zamek w Stirling. Do spotkania jego dwudziestotysięcznej armii z siedmioma tysiącami Szkotów doszło 24 czerwca 1314 r., pod Bannockburn. Armia Bruce'a pokonała niezwycięzonych dotychczas łuczników, wycinając na dodatek kwiat angielskiego rycerstwa. Bitwa pod Bannockburn przeszła do historii Szkocji jako największe zwycięstwo w dziejach tego kraju. Tu narodziła się legenda Roberta The Bruce króla Szkotów i tu dzisiaj stoi pomnik drugiego obok Wallace'a bohatera okresu wojen o niepodległość Szkocji.

Od tego momentu Robert I rozpoczął najazdy zbrojne na Anglię, w 1317 r. osadził na tronie irlandzkim swego brata Edwarda. W 1326 r. zapewnił synowi Dawidowi przyznanie prawa do sukcesji, a niespełna miesiąc przed jego śmiercią władca angielski 4 maja 1329 r. ratyfikował w Northampton traktat o uznaniu niepodległości Szkocji. Robert I Bruce odszedł w glorii bohatera narodowego, kto wie czy nie większego niż William Wallace. Dzieje jego walki stały się tematem wielu szkockich legend, lecz jeszcze nie filmu...

Leg.

W tekście wykorzystałem informacje z Historii Szkocji Stefana Zabieglika wyd. Gdańsk 2000, do której to pozycji odsyłam zainteresowanych historia Szkocji.



**SKH AB SERDECZNIE
DZIĘKUJE PANIOM Z
SEKRETARIATU
NASZEGO INTYTUTU ZA
CIERPLIWOŚĆ I
OKAZANE
ZROZUMIENIE.**

Rozmowa z profesorem Andrzejem Piątkowskim; hasło wywoławcze – „patriotyzm”

Rocznice związane z historią narodu polskiego, tym bardziej te oficjalnie celebrowane przez władze państwowe, jak na przykład 11 maja, z jednej strony wydawać by się mogło trywializują nieco kwestię polskiego patriotyzmu, sprowadzając ją co raz bardziej do roli mechanicznych obrządków, angażujących oprócz garstki zapaleńców, głównie zaledwie oficjeli. Z drugiej strony zaś skłaniają (być może w obliczu faktu trywializacji właśnie) do zastanowienia się nad tym czym jest w istocie patriotyzm, jakie było jego miejsce w przeszłości naszej ojczyzny i wreszcie, co pod pojęciem patriotyzmu rozumieć powinien badacz przeszłości – historyk?

Kwestie te zostały poruszone na ćwiczeniach w Instytucie Historii Akademii Bydgoskiej przez profesora Andrzeja Piątkowskiego – pracownika PAN, pasjonata historii miast, dziejów transportu lądowego, oraz wchodzących w zakres nauk historycznych zagadnień społeczno – gospodarczych, a ponadto od niedawna wykładawcę we wspomnianym wyżej instytucie, w którym to zadanie profesora polega na popularyzowaniu wśród studentów, historii historiografii z elementami metodologii historii.

Po ćwiczeniach, na prośbę redakcji MERKURIUSZA, profesor zgodził się odbyć z nami rozmowę na temat zagadnienia, jakim jest patriotyzm, za którą jesteśmy bardzo wdzięczni, tym bardziej iż mamy zaszczyt zaprezentować ją Państwu:

Czym Pańskim zdaniem, jest patriotyzm w ogóle?

Słowo „patriotes” oznaczało: rodaka, ziomka, obywatela. Patriotyzm jest to postawa społeczno – polityczna, oparta na zasadzie miłości i przywiązania do ojczyzny, jedności i solidarności z własnym narodem, a także na poczuciu więzi społecznej i wspólnoty kulturowej z innymi członkami narodu. Ponadto jest to forma ideologii narodowej, postulująca podporządkowanie i poświęcenie dążeń osobistych sprawom narodu i ojczyzny, jeżeli wymaga tego ich dobro. Patriotyzm polegający na stawianiu wysoko w hierarchii wartości dobra własnego narodu i ojczyzny wiąże się szacunkiem wobec innych narodów i poszanowaniem ich suwerennych praw. Tak rozumiany jest z jednej strony przeciwieństwem kosmopolityzmu, z drugiej zaś nacjonalizmu.

Czym był patriotyzm w przeszłości Polski, w jakich

formach się przejawiał, oraz w świetle tego, od kiedy można mówić o patriotyzmie w Polsce?

Genetycznie patriotyzm jest związany z kształtowaniem się pojęcia ojczyzny; każdemu historycznie ukształtowanemu typowi ojczyzny odpowiada w sferze postaw zbiorowych określony typ patriotyzmu. Możemy więc mówić o patriotyzmie lokalnym, regionalnym i narodowym. W Polsce, podobnie jak i w wielu innych krajach jego funkcja społeczna i znaczenie kulturowe zmieniały się w poszczególnych ustrojach społecznych i epokach historycznych. W załążkowej formie, patriotyzm występował już w świadomości plemienną, następnie stanowił on element świadomości obywatela – polis (miasta państwa). W społeczeństwie feudalnym przejawiał się w postaci świadomości przynależności do tej samej „korony”. Zilustrować to można na przykładzie tzw. Prus Królewskich, gdzie wśród istniejących tam różnic etnicznych rozwijała się od XV w. Społeczność „Prusaków” posiadających w pierwszym rzędzie świadomość przynależności do tej dzielnicy (patria, Land), jako najbliższej ojczyzny, ale będącej integralną częścią państwa polskiego (korony). Jednak dopiero właściwego znaczenia i siły społecznej nabrał patriotyzm w XIX w., wraz z formowaniem się nowoczesnego narodu, pozostającego jednak jeszcze długo w niewoli zaborowej. W 1863 r. tj. w przededniu wybuchu powstania styczniowego, spiskowcy wierzyli w solidarność narodu, nie chcieli też pozbawić się marzeń o życiu w niepodległym kraju. Na przełomie XIX i XX w. pod zaborami, hasłami patriotycznymi posługiwały się stronnictwa polityczne, a często kierownictwo w walce z np. germanizacją spoczywało w rękach działaczy skupiających się wokół pism codziennych. Przejawem patriotyzmu były akcje protestacyjne przeciw kolejnym rozporządzeniom antypolskim. Inną nie zinstytucjonalizowaną formą patriotyzmu były uroczystości narodowe w rocznice związane z czynami wojennymi lub związane z wybitnymi postaciami. Do najpopularniejszych należały rocznice powstań, odsieczy wiedeńskiej, urodzin Mikołaja Kopernika, Adama Mickiewicza, śmierci księcia Józefa Poniatowskiego. Dużą rolę w krzewieniu polskości i rozwijaniu uczuć patriotycznych spełniały rozliczne stowarzyszenia jak np. Towarzystwo Oświaty Ludowej. Tradycyjną formą obrony narodowości w zaborze pruskim była trybuna

parlamentarna. Do roli symbolu urósł opór dzieci we Wrześni. Żądania dzieci i rodziców dotyczyły przywrócenia języka polskiego jako wykładowego na lekcjach religii. Odradzające się na początku XX w. nastroje patriotyczne znalazły swoje odbicie w historiografii. Następuje silny rozwój badań nad dziejami najnowszyimi, z położeniem nacisku na tradycje wyzwolenicze. Rolę wiodącą spełniała tu szkoła Szymona Askenazego (1866 – 1935). Tematykę tę uprawiali również uczeni działający poza tą grupą: Wacław Tokarz (1873 – 1937) i Marcei Handelsmann (1882 – 1945). Decyzje traktatu wersalskiego z 28 VI 1919 r., przyznające dużą część ziem polskich, znajdujących się do tej pory pod zaborami, państwu niemieckiemu, wywołały nową falę uczuć patriotycznych. Np. na Pomorzu wkraczające od 17.I.1920 r. oddziały wojska polskiego, witano entuzjastycznie wylegając tłumnie na ulice odświętnie udekorowanych miast, przyozdobionych w bramy triumfalne, chorągwie o barwach narodowych i polskie godło państwowe. Uroczystości powitalne organizowano na centralnych placach miast i miasteczek, przy czym miały one charakter spontanicznej, podniosłej manifestacji patriotyczno – religijnej. Okazję do zmanifestowania tego rodzaju uczuć, stworzyły zdarzenia związane z II wojną światową, a w tym okupacją hitlerowską w Polsce. Wielokrotnie płacono za nią daniną krwi, utratą wolności osobistej lub utratą mienia. Patriotami stali się nie tylko żołnierze różnych aren tej wojny, powstańcy walczący na barykadach Warszawy, ale także ci którzy prowadzili tzw. Cichą wojnę z okupantem, prowadząc lub uczestnicząc w tajnych kursach nauczania i „domowych” imprezach kulturalnych. Po 1945 r. uczucia patriotyczne Polaków ożyły wraz ze złudnymi nadziejami na trwałą odbudowę niepodległej, w pełni suwerennej Polski. W pierwszych, niezwykle trudnych latach okresu powojennego, znalazło to swój wyraz min. W spontanicznych, o charakterze masowym i dobrowolnym, akcjach odbudowy z gruzów stolicy, uruchamiania fabryk, warsztatów rzemieślniczo – usługowych, a także organizowaniu szkolnictwa i instytucji kulturalnych, przez rzesze wcale lub wprost symbolicznie opłacanych pracowników. W miarę postępującego ubezwłasnowolnienia narodu, nasilania się terroru stalinowskiego i pogłębiania się trudnej sytuacji ekonomicznej kraju, a wreszcie końca październikowych złudzeń, wyrażane publicznie uczucia patriotyczne musiały, zgodnie z intencją i wolą władz przygasać. W ramach obowiązującego w PRL, również w sferze ideologii systemu nakazowego,

rządzająca partia, głosiła pogląd, iż idee patriotyzmu bezwzględnie musiały się wiązać z tzw. Internacjonalizmem proletariackim. W najnowszych dziejach Polski, hasła patriotyczne zaczęła od nowa realizować od 1980 r., zrzeszająca ogromne ilości Polaków domagających się ustanowienia własnych związków zawodowych, „Solidarność.” Wypisując na swoich sztandarach hasła niepodległościowe (obok ekonomicznych), stała się ona współorganizatorem różnych uroczystości patriotyczno – religijnych, które przybierały często formę tzw. „mszy za Ojczyznę”.

Czym dzisiaj winien być patriotyzm dla Polaków?

Polacy, w tym młodzież, czują się patriotami, łącząc patriotyzm z własną tożsamością narodową, kulturą i językiem, ale jest to patriotyzm nieporównywalny z tym XIX wiecznym, czy nawet z lat 1918/1921. Tamten patriotyzm był z jednej strony romantycznym, a z drugiej strony był zakorzeniony głęboko w idei pracy organicznej. Pewne wątpliwości co do siły dzisiejszego patriotyzmu rodzą się w związku z sytuacją materialną Polaków. Młody człowiek, który nie dostanie pracy, nie będzie mógł założyć rodziny, nie będzie na tyle patriotą, by utożsamiać się z Polską. Stanie się przede wszystkim obywatelem Europy, obywatelem świata i nie będzie miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. W tych trudnych warunkach patriotyzm powinien przejawiać się przede wszystkim w rzetelnym, codziennym spełnianiu obowiązków i zajmowaniu godnej Polaka postawy obywatela swojej Ojczyzny.

Jaką rolę w kwestii patriotyzmu polskiego odgrywa fakt bycia katolikiem?

Uważam, iż dla każdego człowieka, wyznanie jest jego prywatną sprawą. Oczywiście religia katolicka wiąże się ściśle z historią Polaków, dziś jednak aby być patriotą, nie trzeba wcale być wiernym jakiegokolwiek religii.

Czym powinien być patriotyzm dla historyków, w dzisiejszych czasach, oraz czy powinni oni go uwzględniać w swojej pracy, a jeśli tak to w jaki sposób?

Dla wszystkich należących do „cechu historyków”, podobnie jak i dla wszystkich grup społeczno – zawodowych, patriotyzm powinien przejawiać się w sumiennym wykonywaniu powierzonych im zadań. Dla ludzi piszących z tej „branży” to obowiązek doskonalenia i ubogacania swojego warsztatu naukowego, oraz wzbogacania wynikami swoich prac nauki historycznej. Dla nauczycieli zaś to troska o wykształcenie i wychowanie młodego pokolenia historyków.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Wojciech Ślusarczyk

UCIEKAJĄCY W FANTASTYKĘ

Zastanawiając się nad tematem do artykułu, rozpatrywałem związki między historią, a fantastyką. Nasuwa się tu spostrzeżenie, iż osoby interesujące się szeroko pojętą historią, przechodzą częstokroć (w ramach swych zainteresowań), przez pewne etapy. Jednym z tych etapów, często jednym z pierwszych, jest zainteresowanie fantastyką. Zwróćcie Państwo uwagę na fakt, iż rzeczywistość oferowana przez fantastykę, polega na założeniu obracania się w świecie nieistniejącym. Powoduje to liczne zarzuty, wysuwane przez ludzi fantastyką nie zainteresowanych, które wyrażają najczęściej myśl, iż młodzi ludzie, zajmując się fantastyką, uciekają w nią, jak najdalej od rzeczywistości, powodując w ten sposób narastanie swego wyalienowania od świata realnego. Pozwólcie Państwo, że oddam teraz głos młodemu przedstawicielowi grupy miłośników fantastyki, oskarżanych o ucieczkę w nią;

„Uciec” to bardzo mocne słowo. Związane jest ze strachem i obawą. Ucieka się przed pogonią, często w popłochu. Rzadziej ucieczka stanowi dokładnie przemyślany ruch. Zastanawiające jest, przed czym uciekają ci, którzy upatrują schronienia, czy ratunku w fantastyce? Banaly można podać od razu, są to ludzie słabi – ponieważ boją się tego świata, próbują dokonać niemożliwego – uciec przed codziennością, rzeczywistością. Może jednak, nie wszyscy z nich są słabi? Należy sobie zadać także pytanie: Przed czym uciekają? Odpowiedzi natomiast, trzeba szukać w tym w oni uciekają.

Fantastyka – niesamowite, często nadprzyrodzone zjawiska, będące wytworem fantazji w mitach, folklorze, utworach fabularnych i plastycznych. Bardzo prosta definicja. Z początku używana do określenia jedynie niewielkich motywów w literaturze. Obecnie zaś, na jej podstawie powstał cały gatunek – powieść fantasy. Choć nie przez wszystkich akceptowany i bardzo często lekceważony, gatunek ten ma swoich zwolenników i gorących wielbicieli. Za jego ojca uznaje się profesora filologii angielskiej w Leeds – Johna Ronalda Reuela Tolkiena. Zajmował się on badaniem mitów i legend celtyckich. To z nich zaczerpnął motywy do swego życiowego dzieła „Władcy Pierścieni”.

Historia młodego, małego człowieczka (Hobbita), pełna jest magii, mistycyzmu i tajemniczości. Jego losy okraszane są pełnym wachlarzem pejzaży; od pięknych po przerażające. Zaryzykuję tu stwierdzenie, iż dzieło Tolkiena było szczytem kracjonizmu, tak popularnego w 20-leciu międzywojennym. Czytelnik ma więc do czynienia nie tylko z nową kulturą, prawami moralnymi, lecz całym nowym światem, z jego bogami, a także genezis. Tolkien posunął się nawet do stworzenia własnego języka i pisma, będących w użyciu, w wykreowanym przez się świecie!

Od czasów „Władcy Pierścieni”, powstało wiele nowych, odrębnych światów. Co prawda, większość z nich jest do siebie odrobinę podobna (wszak wywodzą się od tolkienowskiego pierwowzoru), jednak tylko niektórzy pisarze przyznają się do tworzenia w jakby

wspólnej rzeczywistości. Jednym z takich światów jest na przykład *Forgotten Realms* (Zapomniane Krainy). Piszą o nim między innymi: R. A. Salvatore, Elaine Cunningham, czy Ed Greenwood.

Utwory te zawierają różną dawkę życiowej mądrości i przemyśleń filozoficznych, podobnie jak tak zwana klasyka, którą przerabia się w szkole. Opowiadają o ludziach, ich zachowaniach, uczuciach i czynach. Wbrew powszechnemu przekonaniu głównym bohaterem powieści fantasy nie jest „Konan niszczycy, Konan zabijac”. Ludzie którzy tak uważają są albo głupi, albo na tyle pyszni, aby mniemać, iż nie warto czytać czegoś, czego nie uznano powszechnie na świecie. Postawa taka do niczego dobrego nie prowadzi. Poświadcza to chociażby historia naszego kraju, pełna zarozumiałych ignorantów.

Fantastykę można dziś znaleźć w każdej dziedzinie sztuki: literaturze, malarstwie i filmie. Tym co łączy wszystkie te dziedziny, jest ich uniwersalność.

Czy jest więc prawdą, iż świat fantasy jest schronieniem dla ludzi słabych i bezsilnych? Czy można nazwać schronieniem miejsce, w którym świat jest niszczone, a dobro nie zawsze zwycięża? Czy ludzie słabi uciekaliby do świata, w którym bohaterowie lub ich przyjaciele giną śmiercią bolesną i przedwczesną? W moim przekonaniu stanowczo nie! Zatem skoro uciekającymi w fantastykę, nie są ludzie słabi, to kim są i dlaczego to czynią?

Patrząc na ludzi, którzy interesują się fantastyką, zauważam pewne cechy wspólne: W większości są to osoby młode, inteligentne, które najczęściej już w swym krótkim życiu sporo osiągnęły. Są laureatami olimpiad, jak również i innych konkursów. Zdają sobie sprawę, iż wszelka indywidualność w naszej rzeczywistości zaciera się, a jednostki ponadprzeciętne, nie zgadzające się ze światem takim jaki on jest, są niszczone. Uzbrojeni w potężną i wszechmocną wyobraźnię, przenoszą się w światy, gdzie mogą spełnić swoje młodzieńcze marzenia.

Maciej Bazarnik

Muszę przyznać się przed Państwem, do tego iż samemu również interesowałem i interesuję się nadal fantastyką, do której zbliżało mnie zafascynowanie się przeszłością. Zwróćcie Państwo uwagę, czyż historyk, nie obraca się, na obraz fantasy, w światach nieistniejących w chwili obecnej, światach wykreowanych przez badaczy minionych wieków? Czy rekonstrukcja obrazu minionej rzeczywistości, nie jest w istocie kreacją świata, taką samą jaką jest kreacja neverlandu, z tą tylko różnicą, że neverland nie istniał nigdy, a rzeczywistość kreowana przez historyka – badacza, kiedyś prawdopodobnie tak.

W. Ślusarczyk



ROZMOWA Z DOKTOREM JACKIEM KOWALSKIM

Jacek Kowalski jest poetą, twórcą muzyki i tekstów, a także tłumaczem literatury starofrancuskiej. Teksty własne, jak i przetłumaczone wykonuje na scenie. Jest także autorem wierszy, tekstów misterii, przedstawień historycznych i szopek oraz rysunków, którymi okrasza swoje publikacje. Własne pieśni, które pisze pod wpływem fascynacji kulturą staropolską, wykonuje z zespołem Monogramista JK, z którym związany jest od 1988 roku. Występuje też sam. Przekłady natomiast zwykły Jacek Kowalski wykonuje przy udziale zrekonstruowanych instrumentów dawnych, z zespołem Klub Świętego Ludwika, z którym współpracuje od roku 1996, chociaż program „Stare ballady francuskie” (przekłady ludowych pieśni francuskich z XVI – XVIII w.) wykonuje solowo. Do tej pory zdołał wydać pięć kaset i dwie płyty CD (m.in. „Śpiwniczek Sarmacki”, „Konfederacja barska po Kowalsku”, „Trubadurzy i truverzy po polsku”), a także kilka tomików zawierających utwory własne i pięć tomików z przekładami (m.in. „Ronda i ballady” Karola księcia Orleanu oraz „Mały Testament” Franciszka Villona). Współpracuje z czasopismami: „Czas Kultury”, „Christianitas” i „Magazyn Muzyki Chrześcijańskiej RuAH”, publikował także w czasopiśmie „W drodze”, oraz w „Znaku”. Dossier Jacka Kowalskiego jest zapelnione wieloma nagrodami i wyróżnieniami. W 1988 roku zdobył I nagrodę Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie.

Jako historyk sztuki zajmuje się interdyscyplinarnymi badaniami pogranicza literatury i sztuki średniowiecznej Francji. Prace swe publikował między innymi w „Roczniku Historii Sztuki”, „Atrium Quaestiones” i czasopismach francuskich. W czerwcu 1998 roku Jacek Kowalski obronił pracę doktorską dotyczącą fantastycznych wizji architektury w poezji starofrancuskiej. Praca ta ukazała się właśnie w wydawnictwie DiG jako książka pod tytułem „Rymowane zamki. Tematy architektoniczne w literaturze starofrancuskiej II połowy XII wieku.” Od 1996 roku jest organizatorem Seminariów Mediewistycznych PTPN, współredagując coroczną publikację materiałów tej konferencji.

Obecnie Jacek Kowalski pracuje jako adiunkt w Instytucie Historii Sztuki UAM, w zakładzie Historii Sztuki Średniowiecznej. Tam właśnie udałem się, aby dzięki przychylności omówionej pokrótce powyżej osoby, przeprowadzić z nią dla MERKURIUSZA rozmowę.

W jaki sposób i w jakich okolicznościach zetknął się Pan z szeroko pojętą sztuką?

Ze sztuką stykałem się od dzieciństwa. Moi rodzice są artystami. Oboje ukończyli Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu, zwaną wówczas Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych. Mój ojciec był przez długie lata kierownikiem Katedry Projektowania Mebla tamże; mama zajmowała się tworzeniem mebli stylowych, kopii i parafraz rozmaitych „Ludwików” i „biedermeierów” w poznańskiej Spółdzielni Rzeźby i Stolarstwa Artystycznego. Zresztą nadal pracują w tej branży. Razem stworzyli projekt w swoim czasie bardzo znany, wręcz hit polskiego meblarstwa, który „umeblował Polskę” i doczekał się licznych parafraz, mianowicie tak zwane „Meble Kowalskich”. Były to pierwsze u nas segmenty, które jeszcze piętnaście lat temu niemal każdy miał w mieszkaniu. Mało kto wie, że popularna nazwa tego segmentowego zestawu wywodziła się rzeczywiście od nazwiska projektantów – wszyscy raczej myślą, że wynika z popularności. Zresztą takie było założenie projektu – znaleźć tanie i dostępne dla przeciętnego Polaka meble, pasujące na

dodatek do ciasnych bloków PRL-owskich, do których nijak miały się wielkie meble przedwojenne. Oprócz tego moja mama maluje i to naprawdę pięknie; jej domeną są pejzaże i martwe natury. Z rodzicami jako dziecko i młodzieniec zwiedzałem muzea i objechałem, śmiało mogę powiedzieć, prawie całą Polskę, oglądając zamki, pałace i kościoły. I tak to polubiłem, że w końcu postanowiłem zdawać na historię sztuki.

A więc stąd zainteresowanie historią?

Historia – to jeszcze inna historia. Z historią stykałem się „wieczorną godziną” przy starym zegarze, w domu mojego Dziadka, który opowiadał mi koleje swojego życia, podczas gdy Babcia serwowała herbatę. Zupełnie jak w popularnej powieści dla młodzieży... Dziadek był dla mnie żywą historią, chociaż przede wszystkim Kochanym Dziadkiem. Za młodu, jeszcze pod pruskim zaborem, działał w tajnym skautingu, w 1920 poszedł do armii na ochotnika, w międzywojniu został posłem na sejm i wiceprezydentem Grudziądza, a w czasie wojny „robił” w podziemiu politycznym i w Komendzie Głównej AK. W 1945 dostał się do Moskwy jako oskarżony w sławnym „procesie szesnastu”. Wreszcie kilka lat odsiedział w Polsce i na koniec powrócił na rolę, na kilkuhektarowe gospodarstwo, z którego kiedyś wyszedł grać swoją historyczną rolę na wielkim świecie. Dziadek był świetnym opowiadaczem, genialnym gawędziarzem, serwował mi jednocześnie opowieści o krasnoludkach, Napoleonie, Aleksandrze Wielkim, Krzyżakach, o swoim kuzynie Siudziaku i o Powstaniu Warszawskim. Teraz w jego małym domku, gdzie mieszkał też mój pra- i prapradziadek, mieszkam ja, Ania – moja żona – i nasze dzieci.

Jak ocenia Pan swoją popularność jako artysty i w jakich kręgach występuje ona najczęściej?

O, to trudne pytanie. Nie tworzę sztuki komercyjnej, a moje płyty nie rozchodzą się jak świeże bułeczki, aczkolwiek jestem trochę obecny w radio (na przykład w „Trójce”) a także, aczkolwiek rzadziej, w telewizji. Kiedy jadę z koncertem do jakiegoś miasta, nie mogę liczyć na tłum wypełniający salę (no, może poza moim Poznaniem i Krakowem). Ale zawsze i tam spotykam ludzi, którzy znają moje piosenki. Są to często osoby, które słuchają mnie „od dawna”, chciałoby się powiedzieć, że „od początku”. Bo też na początku to, co robię, zapowiadało się bardziej „popularnie”. Dlatego po prostu, że kiedy zacząłem śpiewać, a było to w roku 1988, w tak zwanej „kulturze” panowała zupełnie inna sytuacja. Aby stać się w miarę znanym, wystarczyło pojawiać się w dobrze prosperujących wówczas ośrodkach kultury studenckiej, w których koncentrowało się kulturalne życie ludzi związanych z opozycją. To środowisko było bardzo nośne, bez udziału radia, telewizji i wydawnictw fonograficznych. Nie trzeba było śpiewać specjalnie „pod publiczność”, bo finanse nie odgrywały takiej roli, jak dziś. Wówczas pewnie powstał pierwszy krąg moich odbiorców. Późniejsi słuchacze należą już do specjalnego klanu, który co prawda też powstał niemal bez udziału mediów. Ten klan to rozproszony po Polsce krąg osób, którym bliskie są: historia, albo piosenka poetycka, albo kultura katolicka i zakon dominikanów, albo muzyka dawna, albo wszystkie naraz – bo jednoczesnych miłośników tych wszystkich działów kultury bynajmniej nie brakuje. Specjalne miejsce zajmują tu wielbiciel polskiej literatury i tradycji. Mam z nimi ściślejszy kontakt, gdyż to środowisko jest siłą rzeczy bardziej zintegrowane niż środowisko słuchaczy piosenki poetyckiej.

Jak ocenia Pan działalność bractw rycerskich i czy ich członkowie stanowią potencjalnych słuchaczy pańskich pieśni?

Są miłośnicy historii, którzy chcą ją poznać i tacy, którzy chcą ją przeżyć – odczuć na własnej skórze. Zaczyna się to od zabawy w rycerzy na podwórku – sam się tak bawiłem – potem przechodzi się przez gry fantazy (to mnie ominęło), a następnie trafia się do bractw rycerskich. Bractwa chcą tak jakby „naprawdę”, namacalnie odtworzyć dawną rzeczywistość. Czuję do tej działalności wielką sympatię i o ile wiem, a chyba wiem, to mam wśród braci rycerskiej wdzięcznych słuchaczy. Oczywiście do bractw trafiają osoby bardzo różne, obok pasjonatów historii – pasjonaci bijatyki. Ale tacy przecież byli średniowieczni rycerze, w większości niepiśmienni, a krzepcy w pieści i barach. Wątpliwości pojawiają się we mnie wówczas, gdy widzę, że zabawa w przeszłość przeradza się w udawanie, że udajemy naprawdę; gdy granica pomiędzy fantazją a rzeczywistością niebezpiecznie się rozmywa. Na przykład zdarzają się bractwa, które zaczynają na serio nadawać swoim członkom prawdziwe herby historyczne i niektórzy zaczynają wierzyć, że po nadaniu takiego herbu „naprawdę” są herbowi, albo, co gorzej, że tylko w bractwach można praktykować „prawdziwe” cnoty rycerskie. Niektórzy zaś postanawiają „żyć zgodnie z tradycją” i zakładają wspólnoty nieomal pustelnicze, których celem jest „prawdziwe” średniowieczne życie. Póki mamy świadomość, że to zabawa, wszystko jest w porządku. Ale zabawa udająca że jest poważnym zajęciem, to rzecz niebezpieczna. Powstaje fałszywa rzeczywistość, która de facto nigdy nie mogła zaistnieć. I nie powinna. Właściwym miejscem realizacji cnot rycerskich jest nasze życie tu i teraz, a herby należą się tym, którzy je odziedziczyli – ich nadawanie należało do króla i sejmu, a nie do bractw. Teraz już nikt nie może ich otrzymać „naprawdę” – ich nadawanie zaciemnia prawdziwą tradycję szlachecką, która przecież wcale nie upadła, bo herbowi są wśród nas. I ja też do nich się zaliczam, choć moi przodkowie „po mieczu” to zapewne wyjątkowo uboga i bezwioskowa gołota mazowiecka (no, a mój ukochany Dziadek po kądzieli był oczywiście „miejsko-wiejskim łyczkiem”, nie szlachcicem). Wszystko to jednak margines wątpliwości, bo bractwa są, in summo, kapitalną inicjatywą, tworzą świetne środowiska i organizują wspaniałe imprezy, podczas których wiele razy występowałem i muszę przyznać, że zawsze było to niesamowite przeżycie.

Jaki jest Pański stosunek do Związku Monarchistów Polskich?

Nie przyglądałem się bliżej temu zjawisku na polskiej scenie politycznej, mimo iż uważam siebie za człowieka z kręgu chrześcijańskiej prawicy, a paru moich kolegów kręci się koło tego Związku. Jeśli jednak nawet emocjonalnie akceptowałbym monarchię, to – jako Sarmata-republikant – tylko elekcyjną. No i tu tkwi problem, bo monarchia elekcyjna niesie niebezpieczeństwo warcholstwa, albo, co gorsza, umożliwia uczynienie pomazańcem Aleksandra Pierwszego czy Łały J. Jak powiadał książę Bogustaw: „Pana Piegłasiewiczza z Psiej Wólki”. No i potem musielibyśmy tę jego Piegłasiewiczowską, kwaśną dłoń całować. Nie, choćby z tego tylko względu zachowuję wobec ruchów monarchistycznych dużą, wewnętrzną rezerwę. Chyba że kiedyś będą miały jakąś ciekawą propozycję dla Polski... Któż wie, co przyniesie przyszłość?

Jaki jest Pańskim zdaniem cel zajmowania się przeszłością?

Terażniejszość i przyszłość bez przeszłości żyć nie mogą. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, prędzej czy później źle na tym wyjdzie. Ale skądinąd nie można zamykać się w przeszłości. Zajmowanie się przeszłością nie powinno mieć na celu jej wskrzeszenia, ale uobecnianie: ukazanie jej obecnie żyjącym jako pewnej lekcji. Poznajemy ją po to, aby żyć napędzonym

nową treścią, przeświadczeni iż jesteśmy drobnym ziarenkiem, ogniwem na końcu długiego łańcucha, który obarcza nas ciężarem i bogactwem dziejów. No i dzięki poznawaniu przeszłości, dostrzegamy pewne prawidłowości historyczne. Ludzie przez wieki naprawdę niewiele się zmienili. Niestety prawdą jest również, że historia uczy najczęściej tego, że nigdy nikogo niczego nie nauczyła. Ale to w gruncie rzeczy wcale niebanalna nauka.

Czy potrafi Pan przeprowadzić wyraźną linię podziału, między swoją działalnością artystyczną, a naukową?

Podział jest prosty. Tu rymuję i śpiewam, tam piszę prozą i wykładam. Jednak wspólny bywa temat – to znaczy literatura starofrancuska. Niekiedy w pracy naukowej korzystam z tego, że mogę dokonać literackiego przekładu. Badając poetyckie opisy architektury posługiwałem się średniowiecznymi oryginałami, ale publikując doktorat mogłem też odegrać rolę tłumacza – artysty, aby stare teksty zalsniły choć częścią swoich rymowanych blasków. A inną przygodę przeżyłem w związku z moją ukochaną konfederacją barską (której poświęciłem cykl piosenek i płytę „Konfederacja barska po Kowalsku”). Otóż miałem okazję poczynić badania nad niezwykłą, ba, zagadkową chorągwią konfederatów barskich z Muzeum Wojska w Warszawie, która tak naprawdę nie jest klasyczną chorągwią wojskową, tylko wielkim, barokowym obrazem o zagmatwanej ikonografii i nie wyjaśnionej historii (trafiła do Warszawy przez Petersburg). Jako historyk sztuki jestem przede wszystkim mediewistą i ta wycieczka ku Sarmacji była moją pierwszą przygodą jako nowożytnika. Na pewno nie jest to przygoda zakończona.

Co Pańskim zdaniem oznacza patriotyzm w polskim wydaniu i jakie jego miejsce w Pańskiej twórczości?

Jest to pytanie z gatunku prostych a trudnych. No bo sprawa jest niby jasna. Istnieje pewna ludzka wspólnota, która identyfikuje się sama ze sobą i ze swoim państwem oraz z krainą-Ojczyzną, z jej dziejami. Patriotyzm to myślenie i działanie na rzecz dobra tej wspólnoty. Ten obowiązek tym bardziej obarcza chrześcijan – bo miłość Boga i bliźniego dotyczy także własnego kraju (aczkolwiek, oczywiście, zobowiązuje wobec wszystkich ludzi na ziemi). Z tego względu w katolickiej Polsce patriotyzm łączy się szczególnie płynnie z wiarą w Boga i nikogo dziwić to nie powinno. Poza tym Ojczyzna jest każdemu potrzebna, nawet ci, którzy temu przeczą, potrzebują jej, ponieważ bez ojczyzny prędzej czy później czujemy się zagubieni. No i wreszcie, z patriotyzmem łączy się rozmaite symbole i „obrzędy”, które w istocie swojej są do niego tylko małym dodatkiem. Niemniej trudno patriotyzmowi bez nich istnieć – każdy z tych symboli to jakby jego swoiste logo. Ale obok symboli są też głębokie treści narodowej kultury, które patriotyzm kształtują, i głębia religii, w której jest zakorzeniony. Niestety, ludzie w Polsce (niektórzy z prawa i niektórzy z lewa) często identyfikują patriotyzm przede wszystkim z jego symbolami. Jedni eksploatują je aż do granic śmieszności, inni atakują je dla samej radości atakowania czegoś, czego nie lubią. Klótnia prześlizguje się więc po powierzchni rzeczy – po owych symbolach i „obzędach” – a głębsze treści naszej kultury oraz głębia wiary leżą odłogiem. Tego rodzaju zjawisko jest oczywiście obecne w każdym kraju, ale sądzę, że w Polsce występuje szczególnie wyraziście. Czasem na przykład trudno jest kultywować w normalny sposób tradycje narodowe nie narazając się na zaliczenie do „ekstremistowo-nacjonalistów”, na złośliwe uśmieszki i pobłażliwe traktowanie „treści narodowych” – że to takie akademijno-szkolne. Mam nadzieję, że tego rodzaju odczytywanie patriotyzmu przeminie. I, paradoksalnie, zarówno odrodzenie katolicyzmu, jak muzyka folkowa forsowana przez ekologów będą

kanalami, którymi nowe, głębsze poczucie tożsamości i więzi narodowej do nas przyjdzie.

Czy czuje się pan krzewicielem patriotyzmu?

„Krzewiciel” to zbyt wielkie słowo. Ja po prostu nie zapominam kim jestem i ta pamięć jest gdzieś w tle każdej piosenki – czasem w dalekim tle – nawet jeśli to piosenka erotyczna albo kpiarska. Być może, że w obecnych czasach to już wystarczy, aby zostać „krzewicielem”. Cóż, z braku laku...

Jaki jest Pański stosunek wobec patriotów, którzy są zdeklarowanymi ateistami?

Nie widzę sprzeczności. Co do mnie, sądzę iż nie jesteśmy w stanie całkowicie wytłumaczyć złożoności tego świata, a jedynym jej logicznym wytłumaczeniem jest Bóg. I dlatego między innymi wybrałem wiarę. A że na dodatek wiara katolicka wpisana jest w naszą polską historię i łączy się z polskim patriotyzmem – no, to tylko szczęście. Tym niemniej można kochać Polskę nie będąc katolikiem, albo będąc ateistą. Bóg dał nam wolną wolę i nikomu nie odbierzemy prawa do niewiary. Co ciekawe, to właśnie ateści – wiem to, bo widziałem – organizowali za komuny „msze za ojczyznę”, a niektórzy do dziś żywią swoisty kult Matki Boskiej... To jak w „Dziadach” Mickiewicza: „Dawno nie wiem, gdzie moja podziata się wiara... Lecz nie dozwolę bluźnić imieniu Maryi”. Swego rodzaju paradoks.

Jak, Pańskim zdaniem, powinna wyglądać relacja polskiego patriotyzmu względem globalizacji oraz polskich aspiracji do wstąpienia w szeregi państw Unii Europejskiej?

Pewnie powinniśmy wejść w strukturę UE, choć odczuwam poważny niepokój, widząc naszą słabą pozycję wobec innych państw unijnych. A globalizacja – to niewątpliwie termin zrazu dość przerażający, choć fakt, iż wszyscy są „bliżej wszystkich”, jest tak w ogóle dobry. Niepokoi tylko to, że jak się zdaje, globalizacja nie zakłada współistnienia różnych

kultur, lecz raczej narzuca im z góry gotowe, zunifikowane rozwiązania – obecnie głównie amerykańskie. A nasza kultura – choć kocham ją i wielbię, muszę to powiedzieć – do najsilniejszych nie należy. Chętnie przyjmuje byle jakie importy, a słabo się eksportuje. Co prawda mogłaby stać się popularnym, eksportowym towarem, tylko że nie potrafimy jej sprzedać. Czy raczej należało by powiedzieć – sama nie potrafi się sprzedać (bo cokolwiek zrobimy, będzie jej częścią). Przecież egzotyka Sarmacji i dramatyczne losy Rzeczypospolitej Szlacheckiej są skarbnicą tematów, jakich nie powstydziliby się żaden porządny kraj... I jeśli by nakręcić parę „Walecznych serc” dziejących się na Kresach – zakasowalibyśmy Irlandczyków i na dodatek wykreowalibyśmy w Europie nowy, piękny gatunek „płaszczki i szpady”. Ale my tego nie potrafimy zrobić. Przynajmniej na razie. Bo nasza kultura wydaje co jakiś czas geniuszy, którzy zachwycają Europę (vide Sienkiewicz i „Quo Vadis”), ale nie jest dość silna, aby pójść za geniuszami i w całości podwyższyć swoje loty. Gorzej – przywykła iść na łatwiznę i przyswaja sobie jakikolwiek chłam bez ładu i składu. Kiedyś ten chłam przetrawialiśmy, a on po dodatkowym prymitywizowaniu przeradzał się w siermiężną swojskość. Tymczasem globalizacja daje czas na przetrwanie, na tworzenie specyfiki – podaje już gotową papkę, która może wyprzeć słabszą specyfikę polską. Tu tkwi niebezpieczeństwo.

Koncząc wywiad, chciałbym zapytać o plany na najbliższą przyszłość.

Plany są rozległe. Chciałbym nagrać dwie płyty, jedną – już nagraną – zamierzam wreszcie wydać; marzę o kolejnym historycznym przedstawieniu; piszę książkę o kulturze francuskiego średniowiecza; szukam tematu na habilitację. Jakie będą losy tych planów – pokaże czas.

Dziękuję za rozmowę.

Wojciech Ślusarczyk

Zatrzymać chwilę - świat Józefa Chelmowskiego

W dzisiejszym, zabieganym świecie wciąż brakuje nam czasu. Pędzimy tak szybko, że nawet zastanawiamy się co jest najważniejsze. Nie zauważamy, że może ktoś próbuje zachować dla nas coś cennego. Wystarczy tylko przecież rozejrzeć się dookoła siebie. Być może wśród Ciebie żyją ludzie, którzy zajmują się czymś szczególnym. Dla mnie taką wyjątkową osobą jest Józef Chelmowski, skromny człowiek, mieszkający w miejscowości Brusy – Jaglie. Trafic do niego nie trudno, ponieważ okoliczni mieszkańcy bardzo dobrze go znają, ponadto o istnieniu owego człowieka, informuje także postawiona specjalna tabliczka.

Pan Józef tworzy rzeźby o typowych, ludowych kształtach. Szczególnie rzucają się w oczy charakterystyczne rysy twarzy jego dzieł. Powstają też liczne figurki (ptaki, motyle), szopki ruchome i grające gwiazdy betlejemskie. W wolnym czasie zajmuje się on także malowaniem na szkle (co jest bardzo trudną techniką) krajobrazów kaszubskich, w których dominują pola, lasy, ludzie zajęci pracą na roli. Nie obce są mu także obrazy malowane na płótnie, na przykład Bitwa pod Grunwaldem. Dla kaszubskiego liceum ogólnokształcącego, wyrzeźbił figurkę przedstawiającą sowę, która trzyma w pazurach otwartą książkę, na której wyryte są słowa hymnu kaszubskiego. Józef Chelmowski pracował także nad Wejrzeniem Ojca Świętego, przeznaczonego na wystawę w Krakowie, poświęconej papieżowi.

Aby przekonać się o niesamowitym talencie artysty ludowego, wystarczy obejrzeć jego domostwo. Przed wejściem na podwórze można ujrzeć rzeźbę przedstawiającą trzeci upadek Jezusa Chrystusa. Jest ona ustawiona w ten sposób, aby witała wszystkich gości. Trochę dalej znajduje się Stary wóz, a na nim rzeźbione bocianie gniazdo. Ogród artysty jest przepiękny (szczególnie wiosną i latem). Znajduje się w nim wiele uli o ludzkich rysach twarzy, a także wiatrak na wodę. Na zewnątrz budynku mieszkalnego, wydzielona została specjalna ściana, na której artysta umieścił liczne płótna, obrazy i figurki. Powieszony został tam także ususzony wieniec, za który wieś, w dożynkach wojewódzkich, zdobyła czwartą nagrodę. Wystarczy rzut oka, ażeby przekonać się, że całe obejście jest prawdziwą oazą spokoju, w której zatrzymał się czas. Wszystko wygląda tutaj szczególnie; inaczej...

Pan Józef znany jest nie tylko w kraju, ale także za granicą, gdzie nie brakuje miłośników sztuki ludowej. Jego dzieła docierają między innymi do Niemiec, Słowenii i za ocean. Od kilku lat działa społeczny komitet budowy muzeum. Projekt, co prawda, był już gotowy w 2000 roku, wyznaczono nawet teren pod zabudowę, lecz z powodu braku pieniędzy realizacja tego przedsięwzięcia jest na razie niemożliwa. Prawdopodobnie jednak część funduszy będzie pochodziła z fundacji polsko – niemieckiej, która wyraziła chęć współpracy przy budowie muzeum, co może znacznie przyspieszyć osiągnięcie celu.

Dla Józefa Chelmowskiego pracownia, jest jak zakątek wszechświata. Chętnie opowiada o swoich korzeniach i o tym, czym się zajmuje, dlatego najlepszym sposobem na poznanie kaszubskiej sztuki ludowej, jest zobaczenie „świata” pana Józefa. Zapraszam.

Anita Januszewska

WPŁYWY RADZIECKIE W WOJSKU POLSKIM W LATACH 1943 – 1956 CZ. 1

Po drugiej wojnie światowej zapadła „żelazna kurtyna” dzieląca świat na dwie części. Po jej wschodniej stronie było ZSRR wraz ze swoimi państwami satelickimi, wśród których znajdowała się również Polska. Wpływy Moskwy w krajach socjalistycznych nie ograniczały się tylko do ingerencji w sprawy polityczne, ale również militarne. Większości ludzi kojarzy się to z podpisaniem w 1955r. Układu Warszawskiego, jednak zjawisko to zaistniało znacznie wcześniej, w trakcie wyzwalania krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Stalin wychodził z założenia, że jeżeli uda mu się podporządkować armię danego państwa, to będzie ono uzależnione od ZSRR. Należało więc stworzyć ideologizowaną armię i usunąć wszystkich tych, którzy mogliby stanowić opozycję wobec reżimu komunistycznego. Oznaczało to czystki wśród żołnierzy, „pomoc kadrową”, nadzór doradców wojskowych i całkowite upartyjnienie armii.

Odradzająca się armia czechosłowacka powstawała z dwóch składników: z korpusu utworzonego w ZSRR (dowodzonego przez Svobodę) oraz sił zbrojnych zorganizowanych na zachodzie. W jej skład weszli również członkowie krajowego ruchu oporu. Wraz z korpusem Svobody przybyli oficerowie związani z ruchem komunistycznym, a także działacze partyjni, którzy podczas wojny zdobyli szlify oficerskie (zwłaszcza jako oficerowie polityczni i informacji). Wśród nich znajdowali się również agenci radzieckiego wywiadu, jak np. Recin, który później padł ofiarą systemu. Z zachodu natomiast wracali oficerowie związani z tradycją Masaryka, przeciwnicy komunizmu. Wśród nich byli wybitni oficerowie czechosłowackiego wywiadu podczas wojny współpracujący z Brytyjczykami, jak np. szef tego wywiadu Frantiszec Moravec. Po powrocie do kraju odsunięto ich od dotychczasowej pracy i skierowano na boczny tor. W warunkach, gdy już podczas wojny istniała nieufność między ZSRR a pozostałymi członkami koalicji, i za parawanem oficjalnej współpracy mocarstwa prowadziły skierowane przeciw sobie działania wywiadowcze, organiczne połączenie tych dwóch składników armii było bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe. Ponieważ Czechosłowacja stawiała na pierwszym miejscu sojusz z ZSRR, musiało to pociągnąć za sobą zmiany personalne w armii. Usuwano więc oficerów, na których zaciążyło choćby najlżejsze podejrzenie o nielojalność wobec KPCz. Nawet gen. Svoboda musiał zrezygnować ze stanowiska ministra, dlatego że rozpoczął karierę oficerską w demokratycznej republice. Jego miejsce zajął zięć Gottwalda mianowany generałem, pozbawiony kwalifikacji i doświadczenia, który wykonywał decyzje doradców radzieckich zajmujących kluczowe stanowiska w MON. Jednym z doradców wojskowych w Czechosłowacji był w latach 1954-1955 Afanasij Bielobrodow.

Szczególne sytuacje zaistniały w krajach, które w czasie drugiej wojny światowej wspierały Niemcy: w Bułgarii, na Węgrzech i Rumunii. Przy pomocy ZSRR w 1944r. obalono tam rządy faszystowskie. W ten sposób nowe władze zamiast stać się demokratycznymi, musiały być zależne od Kremla. Organem, który miał to zapewnić, była Sojusznicza Komisja Kontroli, której przewodniczącym w Bułgarii był Aleksandr Czerepianow (pełniący również funkcję głównego doradcy wojskowego), a na Węgrzech Klimient Jefriemowicz

Woroszyłow. Miała ona walczyć z faszyzmem, lecz w rzeczywistości walczyła z każdą możliwą opozycją.

22 lutego 1946r. w Bułgarii Kristo Pastuchow opublikował w dzienniku „Swoboden Narod” artykuł: „Dlaczego mnie prowokujecie obłudnicy?”. Wyraził on pogląd, że obsadzanie stanowisk wojskowych partyzantami będzie dla bułgarskiej armii katastrofą, ponieważ się ona upartyjni. Ostrzegł przed „umocnieniem ducha partyjnego” w armii, która może stać się „instrumentem partyjnych dążeń i panowania”. Przeciwstawiał się zatem podporządkowaniu wojska partii komunistycznej. Na decyzję o aresztowaniu Pastuchowa wpłynął także jego wcześniejszy artykuł „Nasze wojsko”, w którym podkreślił, że po 9 września 1944 pod pretekstem „wypalenia faszyzmu”, rozpoczęły się „masowe prześladowania żołnierzy, kary śmierci, czystki” w celu podporządkowania armii interesom partyjnym. Ugrupowaniem sprzeciwiającym się upartyjnieniu armii było „Neutralen oficer”. 12 lutego 1947 nastąpiła decydująca rozprawa z buntownikami. Aresztowano podpułkowników: Smolanowa, Żeczewa, Awra-mowa, Petrowa oraz Stanimirowa.

Nie tylko armie państw środkowo - europejskich znajdowały się pod wpływem ZSRR. Również w Chinach, byli radzieccy doradcy wojskowi w 1951r. Stepan Akimowicz Krasowski a w 1959r. Paweł Iwanowicz Batow.

Polska znacznie wcześniej niż inne państwa znalazła się w strefie wpływów Związku Radzieckiego. 17 września 1939r. padła ofiarą jego agresji. Wielu polskich oficerów zostało wywiezionych do obozów jenieckich, między innymi do Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Większość z nich została później stracona w radzieckich katowniach, w tym ponad pięć tysięcy w Katyniu. Ci, którym udało się przeżyć, albo znaleźli się w armii Andersa, albo Berlinga. Jednak wiele wskazuje na to, że już jesienią 1940r., przewidując nieuchronność starcia z III Rzeszą, władze sowieckie rozwały możliwość utworzenia na terytorium ZSRR polskich oddziałów wojskowych, które mogłyby stanowić niebagatelny czynnik polityczno-wojskowy w nadchodzącej rozgrywce z Niemcami. Polscy więźniowie musieli więc przejść serię przesłuchań NKWD na temat chęci walczenia w nowej armii. Berling, Bukojemski, Gorceżyński i Tyszyński zgłosili gotowość oddania się do dyspozycji rządu radzieckiego i wzięcia na siebie organizacji i dowodzenia oddziałami wojskowymi utworzonymi z polskich jeńców wojennych, przeznaczonymi do walki z Niemcami. Nie zrobili tego raczej z wiary w komunizm, lecz przede wszystkim nie wytrzymali presji organów NKWD. Po przesłuchaniu zostali wypuszczeni z więzienia i zamieszkali w willi NKWD w Małachówce, w tzw. „willi rozkoszy”. Przypuszcza się, że Berlingiem i Bukojemskim kierowała również chęć zrobienia kariery.

30 lipca 1941r. podpisano w Londynie układ Sikorski-Majski. Rząd radziecki godził się na utworzenie w ZSRR armii polskiej pod dowództwem mianowanym przez rząd RP w porozumieniu z rządem radzieckim. Armia ta miała podlegać w sprawach generalnych Naczelnemu Dowództwu ZSRR, w którego skład miał wejść przedstawiciel armii polskiej, a w sprawach organizacyjnych i personalnych Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych (PSZ). Szybko jednak pojawiły się problemy. Należały do nich: sprawa

granicy Polski na wschodzie, obywatelstwa Polaków mieszkających na terenach zagrabionych przez ZSRR, zmniejszenia się liczby oficerów polskich, niedostatecznego zaopatrzenia polskich oddziałów i żądanie władz radzieckich wysłania na front pojedynczych dywizji a nie całej armii. Nieporozumienia te sprawiły, że Anders wraz ze swoją armią wycofał się do Iranu. 13 kwietnia 1943r. ujawniła się sprawa Katynia. Stalin wykorzystał ją jako pretekst do zerwania stosunków z Polską. 8 maja 1943r. zgodził się na prośbę Związku Patriotów Polskich (ZPP), czyli na utworzenie i formowanie 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, na której czele stanął płk Zygmunt Berling. Ponieważ większość polskiej kadry oficerskiej została wymordowana albo wyszła z armią Andersa, przeważającą część stanowisk dowódczych objęli oficerowie radzieccy, nie zawsze nawet polskiego pochodzenia. Było to oczywiście na rękę Kremlowi. W lipcu 1943r. 67% oficerów dywizji pochodziło z Armii Czerwonej, 70% nie posiadało wyższego wykształcenia. Radzieckie były też niektóre zwyczaje: salutowanie, musztra, czy skróty pododdziałów. Jeszcze przed skierowaniem dywizji na front, w sierpniu 1943r., ZPP uzyskał zgodę na formowanie dalszych jednostek: 2Dywizji im. Henryka Dąbrowskiego, Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, pułku lotnictwa „Warszawa” i batalionu kobiecego, w wyniku czego wiosną 1944r. powstał 1 Korpus PSZ w ZSRR. Dowódcą korpusu został mianowany przez Stalina generałem Zygmunt Berling, jego zastępcami gen. Karol Świerczewski, wychowany w ZSRR dowódca Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii i zasłużony działacz Kominternu, szkoleny w latach trzydziestych dywersantów do działań w Polsce oraz Aleksander Zawadzki.

Pod koniec kwietnia 1943r. Wasilewska napisała do Stalina list, w którym stwierdziła, że: „niezbędne okaże się odelegowanie szeregu dowódców Armii Czerwonej Polaków i Rosjan – w celu okazania pomocy jednostce polskiej.” Podobne listy pisał również Berling. Szczegółowe sprawy ustalał z pełnomocnikiem Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej (zarazem pełnomocnikiem rządu radzieckiego) do spraw tworzenia jednostek sojuszniczych na terytorium ZSRR gen. mjr Jurijem Żukowem. Z chwilą powołania „ludowego” Wojska Polskiego (dekret KRN z 21 lipca 1944r.) o pomoc Stalina w Sztapie Głównym zarządach i szefostwach Armii Czerwonej zabiegał już jego naczelny dowódca, zarazem członek rządu – kierownik resortu obrony w PKWN gen. broni Michał Rola - Żymierski. W praktyce kierowaniem oficerów radzieckich do jednostek WP zajmował się Główny Zarząd Kadr Armii Czerwonej, a także po części Zarządy Kadr poszczególnych rodzajów wojsk i służb. Polacy nie mieli żadnego wpływu na rekrutację oficerów z Armii Czerwonej. Przyjmowali wszystkich oficerów i generałów, których przysłał Ludowy Komisariat Obrony ZSRR. Dopiero 15 stycznia 1945r. Dowództwo WP wydało dokument „O trybie odbywania służby wojskowej generałów i oficerów Armii Czerwonej odkomenderowanych do Wojska Polskiego”. Był to pierwszy dokument zawierający status służby, podległość służbową, stosunek do przysięgi wojskowej, odpowiedzialność karną i dyscyplinarną, zasady awansowania, odznaczania, umundurowania, wyposażenia własnego i rodzin czy wreszcie powtórnego odkomenderowania do Armii Czerwonej. W latach 1943-1944 służba oficerów radzieckich w WP nie była unormowana żadnymi aktami prawnymi czy dokumentami normatywnymi.

Ze sprawozdania zastępcy szefa Departamentu Personalnego WP płk Aleksandra Kozucha – oficera Armii Czerwonej odpowiadającego w WP za kadry radzieckie do szefa Głównego Zarządu Kadr Armii Czerwonej gen. Golika

wynika, że od chwili rozpoczęcia formowania IDP im. Tadeusza Kościuszki (maj1943) do zakończenia działań wojennych (maj1945), do różnych jednostek WP skierowanych zostało 19679 oficerów Armii Czerwonej. Stanowili zatem 38,5% ogółu kadry oficerskiej WP. Pomimo obecności w WP oficerów aż 36 narodowości, naprawdę liczyły się tylko cztery z nich rosyjska, polska, ukraińska, białoruska stanowiące 96% ogółu. Na 70 generałów w latach 1943-1948 było 27 Polaków, 27 Rosjan, 8 Białorusinów, 7 Ukraińców i 1 Tatar. Pierwszym generałem radzieckim przybyłym do służby w WP był gen. Karol Świerczewski (15 sierpnia 1943r.).

Od września 1945r. gwałtownie wzrosła liczba odsyłanych do ZSRR oficerów radzieckich. Złożyły się na to: zmniejszenie liczby etatów związane z przechodzeniem WP ze stopy wojennej na pokojową, wykorzystywanie obecności oficerów Armii Czerwonej w WP jako argumentu w walce politycznej z „władzą ludową”, narastająca ilość prób samych oficerów radzieckich o odesłanie ich do rodzinnego kraju (rozłąka z rodziną, narzekanie na złe warunki finansowo-bytowe, niejasne perspektywy służby w WP, chęć dalszego kształcenia się na wojskowych uczelniach ZSRR itp.) Do końca czerwca 1946r. opuściło siły zbrojne naszego kraju ok. 12,4 tys. oficerów, co stanowiło do 70% ogólnej liczby oficerów radzieckich w WP. Nową jakościowo sytuację w procesie odkomenderowania radzieckich kadr z polskiej armii spowodowała zmiana sytuacji politycznej w Polsce po plenum sierpniowo-wrześniowym Polskiej Partii Robotniczej w 1948r. Pierwszym jej symptomem było właśnie wstrzymanie odsyłania oficerów do Armii Radzieckiej. Z dotychczasowej polityki personalnej wobec tych kadr uczyniono wkrótce istotną część oskarżenia Spychalskiego – odpowiedzialnego za kadry w wojsku – zarzucając mu reakcyjność i nacjonalizm.

Zaakceptowanie przez Sztab Generalny Sił Zbrojnych ZSRR założeń sześcioletniego planu rozwoju Wojska Polskiego (lata 1950-1955) otworzyło Polsce drogę do ubiegania się o wymienną „pomoc kadrową” ze strony Armii Radzieckiej. Tak gwałtowny deficyt kadr dowódczo-sztabowych i specjalistycznych był konsekwencją przyjętego kursu polityki personalnej w wojsku, której kamieniami węgielnymi były: uchwały plenum sierpniowo-wrześniowego 1948r. („Walka z odchyleniami pravicowo-nacjonalistycznymi”), II plenum KC z listopada 1949r. („Walka o zachowanie rewolucyjnej czujności”) i IV plenum KC z maja 1950r. („Walka o nowe kadry”). W oparciu o zaistniałe kryteria polityczne i klasowe w latach 1949-1954 zwolniono ze służby zawodowej ponad 9 tys. oficerów, w większości kadrę wywodzącą się z II RP, oficerów wywodzących się z organizacji konspiracyjnych Polskiego Państwa Podziemnego i oficerów przybyłych z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Wszystko to działo się w okresie intensywnej rozbudowy i przebudowy naszych sił zbrojnych, które potrzebowały coraz więcej oficerów i to nie tylko na niższych szczeblach dowodzenia. Wszystkim działaniom w tym kierunku starano się nadać najwyższą rangę państwową i polityczną. Wyrazem tego były osobiste pisma prezydenta Bieruta do Stalina zawierające konkretne już wielkości liczbowe generałów i oficerów radzieckich. W pierwszym, już z 8 marca 1949r., zabiegał o 30 z nich (m.in. 2 zastępców Szefa Sztabu Gen. WP, szefa OPL OK., Szefa Sztabu OPL OK., dowódcę Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych, zastępcę dowódcy Wojsk Lotniczych, 2 dowódców korpusów zmechanizowanych). Do końca 1949r. przybyło do polskiej armii 4 generałów i 17 oficerów Armii Radzieckiej (głównie w stopniach pułkowników). Razem z ponad czterystoma oficerami radzieckimi pozostającymi w WP od lat 1943-1945

obsadzali teraz kolejne ważne stanowiska w departamentach, dowództwach okręgów wojskowych, korpusach, związkach taktycznych i oddziałach, a także w szkolnictwie wojskowym. W listopadzie 1949r. nastąpiły istotne zmiany w kierownictwie MON. Ze stanowiska ministra ustąpił 6 listopada marszałek Polski Michał Rola – Żymierski, a na jego miejsce powołany został radziecki marszałek polskiego pochodzenia Konstanty Konstantynowicz Rokossowski, którego dzień wcześniej, 5 listopada Bierut mianował marszałkiem Polski. Zapoczątkowane wiosną 1949r. intensywne zabiegi władz Polski o radziecką „pomoc kadrową” spowodowały, że w latach 1949-1952 przybyło do Sił Zbrojnych PRL (MON, MBP, BW, WOP) 35 generałów i 234 oficerów Armii Radzieckiej. Było to związane z napiętą sytuacją międzynarodową, która istniała podczas całej zimnej wojny, a szczególnie w czasie trwania wojny koreańskiej 1950-1953.

Momentem przełomowym dla znaczenia i liczebności radzieckiej kadry oficerskiej w siłach zbrojnych naszego kraju były przyjęte w 1953r. ustalenia, wzorem innych państw socjalistycznych, dotyczące stopniowego przechodzenia na system doradców wojskowych w Polsce. Ich realizacja rozłożona na lata 1953-1955 umożliwić miała stopniowe zwalnianie ze stanowisk generałów i oficerów Armii Radzieckiej. Dla wyznaczonych na ich miejsce „młodych” niedoświadczonych oficerów polskich przydzielano radzieckich doradców. Przejście na doradców wojskowych oznaczało więc widoczne od połowy 1953r. zwiększone odkomenderowania z Sił Zbrojnych PRL etatowej kadry radzieckiej. Choć o rozwiniętym systemie doradców wojskowych można dopiero mówić po roku 1953, w rzeczywistości „instytucja” ta istniała już w 1946r. Był to szczytowy okres procesu odkomenderowywania. Wydaje się, że genety tej nowej „instytucji” w polskiej armii, upatrywać należy w wykorzystywaniu przez opozycję obecności oficerów radzieckich w WP jako objawu uzależnienia Polski od ZSRR. Większość oficerów radzieckich została teraz skierowana do poszczególnych dowództw, szefostwa, zarządów i departamentów instytucji centralnych. Ich głównym zadaniem było przygotowanie oficerów polskich (głównie tzw. wychowanków LWP) do samodzielnej pracy na ważnych i kierowniczych stanowiskach w wojsku. W pierwszych miesiącach działalności doradców wojskowych nastąpiło wiele problemów związanych z brakiem prawnego umocowania ich w strukturach Wojska Polskiego. Całokształt tej materii uregulowała dopiero w zasadzie tajna „Instrukcja o wojskowych doradcach z Armii Sowieckiej w Lotnictwie, Marynarce Wojennej i przy Departamentach MON” z 28 października 1946r. podpisana przez Naczelnego Dowódcę Wojska Polskiego Marszałka Polski M. Żymierskiego. Generalnie jednak w pierwszych powojennych latach radzieccy doradcy wojskowi nie pełnili tych funkcji przy kluczowych i kierowniczych stanowiskach w WP. Przyczyna zasadnicza tego stanu rzeczy tkwiła w tym, że większość z eksponowanych stanowisk etatowych zajmowali generałowie i pułkownicy Armii Radzieckiej oraz (nieliczne stanowiska) oficerowie z okresu II RP, którzy nie potrzebowali doradców. Prace nad organizacją systemu radzieckich doradców wojskowych podjęte zostały z inicjatywy marszałka Rokossowskiego w polskim Ministerstwie Obrony Narodowej w połowie 1952r. Istniały dwa źródła naboru doradców generałów i oficerów radzieckich: pierwsze – pod-stawowe – to kierowanie ich bezpośrednio ze ZSRR (w tym trybie przybyło ok. 90% wszystkich doradców) i drugie – wyznaczenie na funkcje doradców osób spośród pełniących już służbę w WP kadry radzieckiej.

Status doradcy wojskowego różnił się zasadniczo od statusu oficera radzieckiego pełniącego służbę w WP na stanowisku etatowym (bezpośrednia podległość kierownictwu MO ZSRR, noszenie radzieckich mundurów, używanie rosyjskiego języka, inne uprawnienia w zakresie świadczeń finansowych i bytowych). Byli oni przedstawicielami innego państwa, mieli tego świadomość nie tylko w wymiarze prawnym, ale i moralno-etycznym. Występowali jawnie w swej roli, tak się też zachowywali, nie udając Polaków i nie starając się ich zrozumieć. Nie byli „pełniącymi obowiązki Polaków”, jak ich koledzy w radzieckich mundurach na etatowych stanowiskach w WP. Liczba doradców wojskowych w siłach zbrojnych Polski w żadnym okresie nie przekraczała stanu ilościowego etatowej kadry Armii Radzieckiej. Przy najwyższym stanie 159 doradców wojskowych, 1 kwietnia 1955r. na etatach było 201 oficerów radzieckich. Oparcie obecności radzieckich generałów i oficerów w SZ PRL wyłącznie na systemie doradców wojskowych miałyby dla społeczeństwa polskiego i żołnierzy korzystniejszy wydźwięk polityczny i moralny, ale wydatki budżetu naszego państwa przewyższyłyby znacznie te ponoszone na dwutorowe rozwiązanie. Niezależnie od politycznej oceny samej istoty obecności radzieckich doradców wojskowych w Polsce, odegrali oni jednak pewną pozytywną rolę w przyspieszaniu polonizacji kierowniczych kadr Wojska Polskiego, przygotowując wielu polskich dowódców do objęcia kluczowych i kierowniczych stanowisk (najlepiej było to widoczne w Marynarce Wojennej, gdzie 1955r. na większości tych stanowisk byli oficerowie polscy, choć mający wciąż radzieckich doradców.)

Liczba oficerów radzieckich w WP zmniejszyła się w latach pięćdziesiątych z tego powodu, że 50% z nich przyjęło obywatelstwo polskie. Mieli oni w większości polskie pochodzenie. Wśród nich znaleźli się między innymi płk Edward Mokrzecki, płk Jerzy Faszyński, płk Antoni Frankowski, ppłk Franciszek Cymbarewicz, ppłk Jezrzy Szerszeń, mjr Cezary Nowicki, mjr Kazimierz Underko. Na początku lutego 1955r. w SZ PRL (MON, MSW, Komitet ds. BP) pełniło służbę 33 gen. i ponad 170 oficerów w (większości w stopniu podpułkowników i pułkowników) Armii Radzieckiej. Zajmowali oni zdecydowanie najwięcej kierowniczych i kluczowych stanowisk. Potwierdzeniem tego może być fakt, że według danych na 1 marca 1955r. na 50 najważniejszych stanowisk (od ministra ON do dowódcy korpusu włącznie) 32 z nich (64% całości) piastowali generałowie i oficerowie radzieccy, w tym 1 marszałek i 16 generałów.

Gwałtowne i znaczące zmniejszenie tych wielkości nastąpiło dopiero po październiku 1956r. Jeszcze do końca 1956r. odkomenderowano do ZSRR 1 marszałka, 19 generałów, 125 oficerów. W pierwszej połowie 1957r. dalszych kilkanaście osób, w tym 8 generałów. W sumie od listopada 1956r. do listopada 1957r. wyjechało do ZSRR 56 generałów i oficerów zajmujących w WP stanowiska etatowe. Zauważyć należy, że wśród odkomenderowanych w tym czasie byli: marszałek Konstanty Rokossowski - minister ON, wiceminister ON gen. armii Stanisław Popławski, 3 zastępców szefa Sztabu gen. WP (gen. Berski, Pigarewicz, Diomonow), 4 dowódców OW (gen. Strażewski, Potkiewicz, Andrijewski, Turkiel). Na wszystkie opuszczone po oficerach radzieckich stanowiska wyznaczani byli oficerowie polscy o różnej przeszłości (tzw. wychowankowie LWP, oficerowie zawodowi z II RP, oficerowie PSZ na Zachodzie, demokratycznych organizacji konspiracyjnych).

Koniec cz.1

*Łukasz Popławski,
student politologii na UMK w Toruniu*